



www.scenapolska.nl

Holandia • Europa • Świat

Scena Polska.nl

Kwartalnik nr 4(76)/2013

ISSN 1233-7633

Cena: 2 EURO

Rozmowa z Markiem Niedźwiedzkiem

Spowiedź Hempla

Siła świątecznej muzyki

***Pomyślności
w 2014 roku!***



Fundacja "hOlendry"

Fundacja „hOlendry” powstała w maju 2013 roku. Celem fundacji jest promocja kultury Niderlandzkiej w Polsce oraz działalność oświatowa, rekreacyjno-zdrowotna, sportowa i kulturalna w zakresie rozwoju, wspierania i promocji zdrowego trybu życia.

**Prettige Kerstdagen!
Pogodnych Świąt Bożego Narodzenia!**

Fundacja "hOlendry"

www.facebook.com/HolendryNowaRoza

www.nowaroza2.blogspot.com

www.poolspodium.org

**Jesteśmy otwarci na współpracę,
zainteresowanych prosimy o kontakt mailowy:**

nowaroza2@gmail.com

poolspodium@gmail.com

Fundacja "hOlendry"

Numer konta BZ WBK: 88 1090 1854 0000 0001 2126 4460

IBAN: PI88109018540000000121264460, SWIFT / BIC code: WBKPPLPP



ZOFIA SCHROTEN-CZERNIEJEWICZ
Redaktor Naczelna

Drodzy Czytelnicy,

Za oknem... No właśnie, nie wiem, jaka jest pogoda w dniu, w którym trzymacie Państwo w ręku nasze pismo. Mam nadzieję, że słońce i śnieg, jak na naszej okładce, bo tak powinno być w okresie świąt Bożego Narodzenia. Pogoda nie zależy od nas, ale atmosfera tych świąt na pewno.

Christmas, Kerstdagen, Boże Narodzenie to czas, kiedy stajemy się lepsi, patrzymy sobie w oczy dzieląc się opłatkiem i obdarowujemy siebie nawzajem dobrym słowem i większą niż zwykle życzliwością.

Przygotowując ten grudniowy numer rzuciłam naszym autorom hasło: piszmy o świątach. I proszę, prawie wszyscy to podchwycili. Świąta to wdzięczny temat, który nakłania nas do wspomnień, refleksji, częściej wesołych, rzadziej smutnych, często sentymentalnych...

Mnie także udziela się ten nastrój. Czy wiecie Państwo, że piszemy dla Was i dla siebie już prawie 20 lat? Niektórzy nasi autorzy dopiero zaczynali chodzić, a co dopiero mówić o pisaniu! Ten świąteczny numer jest wyjątkowy, jest grubszy i przeważają teksty literackie. Będzie co czytać w długie, zimowe wieczory...

Sporo miejsca poświęciliśmy ostatniemu spektaklowi teatralnemu zorganizowanemu przez Scenę Polską w Holandii.

Sala teatru w Hadze wypełniona po brzegi, to nadzieja na przyszły rok, będą kolejne przedstawienia, rezerwujcie już datę 8 marca! Również ważnym wydarzeniem był pokaz filmu „Syberiada Polska” w obecności reżysera Janusza Zaorskiego w Tilburgu. Ostatnią w tym roku imprezą, zorganizowaną przez Scenę Młodych przy Scenie Polskiej, było świąteczne spotkanie młodzieży polonijnej w Utrechcie, które miało odpowiedzieć na pytanie o „podobieństwo różnic” urodzonej i wychowanej w Holandii młodzieży z polskimi korzeniami. O tym co „uradzone” – w kolejnym numerze kwartalnika.

Wracając do tego numeru, co za radość gościć tak znakomitych autorów.

Po latach znajomości i przyjaźni witam w naszym gronie Alinę Dragan. To długo przez nas oczekiwany „debiut” na łamach naszego pisma tej znakomitej dziennikarki, której dniem powszednim jest dziennikarstwo radiowe. Alinko, dziękuję Tobie osobiście za ten gwiazdkowy prezent!

Przyznać muszę, że na załączonym do Twojego wywiadu zdjęciu, nie zmienił się ani Amsterdam, ani Marek Niedźwiecki. Jakby wczoraj...!

I my też się za bardzo nie zmieniamy. Pozostaniemy przez cały następny rok tak dobrzy i życzliwi, jacy jesteśmy w tym okresie świąt Bożego Narodzenia i Nowego Roku.

Tego Państwu, Koleżankom i Kolegom z redakcji i Drukarni oraz sobie

życzy

ZOFIA SCHROTEN-CZERNIEJEWICZ



SCENA POLSKA | Kwartalnik, nr 4 (76) 2013 | ISSN 1233-7633

Współfinansowane ze środków otrzymanych od Ministerstwa Spraw Zagranicznych Rzeczypospolitej Polskiej w ramach konkursu na realizację zadania „Współpraca z Polonią i Polakami za granicą w 2013”

WYDAWCA/ZESPÓŁ REDAKCYJNY: Zofia Schroten-Czerniejewicz (red. nacz.), Gienek Brzeziński (sekr. red.), Agnieszka Steur, Alicja Grygierczyk, Natalia Schroten, Ewa Augustyniak oraz zespół.

Stichting Pools Podium

Tel. 31 (0) 30 2718296, fax. 31 (0) 30 2719613, E-mail: poolspodium@gmail.com

Stichting Pools Podium, ABN AMRO Utrecht, 51.85.44.443.

www.scenapolska.nl | www.poolspodium.nl

Zdjęcia: Archiwum SPP

Skład: Mariusz Mamet | Mac Map

Druk: Drukarnia Swarzędzka Stanisław i Marcin Witecki, Tel. +48 (61) 817 27 64

Okładka: [fot. Janusz Romaniszyn](#)

SCENA POLSKA



POOLS PODIUM

www.scenapolska.nl

ZAPRASZAMY DO PRENUMERATY!

Zadbaj o stałą, bezstresową dostawę kwartalnika, zostań Przyjacielem Sceny Polskiej w Holandii. Wpłaciwszy dobrowolną kwotę na konto 51.85.44.443 (tnv. Stichting Pools Podium) zapewnisz sobie ciągłość lektury, łatwość dostępu do niej i informacje o wszystkim, co organizuje Scena Polska w Holandii.

Jakoś to będzie?



GIENEK BRZEZIŃSKI

Wygląda na to, że coraz więcej spraw coraz większą liczbę ludzi coraz bardziej denerwuje. Wkurza, jak się to ładnie mówi, kiedy nie chce się powiedzieć brzydko, czyli bardziej dosadnie. Też na wk... zresztą.

Mogliśmy to wyraźnie dostrzec na spektaklu Sceny Polskiej w Hadze „Jakoś to będzie”. Jacek Kałucki (zarazem autor sztuki) i Sylwester Maciejewski pokazali w wirtuozerskim stylu, jak trudno jest inteligentom, chcącym wierzyć w pozytywne idee, przekonać tzw. prostego człowieka, który „wie swoje” – niejednokrotnie słusznie, niestety – że politycy są tylko po to, żeby kręcić własne interesy, brać łapówki, obdzierać ze skóry takich jak on. Sprawiedliwość stała się pojęciem abstrakcyjnym, a sprawiedliwość społeczna, tak strasznie zdewaluowana przez poprzedni, niesłuszny ustrój, straciła całkowicie jakiegokolwiek prawo istnienia. Dokładnie tak, jak poczucie elementarnej przyzwoitości czy solidarności. Człowiek jest przeważnie egoistą i, po osiągnięciu sukcesu, naprawdę nie przejmuje się losem innych: „frajerów”, „nieudaczników”, „ofiar własnej nieudolności”.

Czytam w gazecie, że w 2012 roku przybyło na świecie 2170 miliarderów, głównie w Azji i Rosji. Czytam również, że (zapewne) jeden z nich kupił na aukcji w Nowym Jorku obraz Andy'ego Warhola za...ponad 104 miliony dolarów (jeśli to Państwa szokuje, to mogą dodać, że kilka tygodni wcześniej Christie sprzedał obraz Francisca Bacona za 142,4 mln dolarów!) A tego samego dnia słyszę, że Holendrzy, w wiel-

kiej akcji pomocy dla dotkniętych klęską żywiołową Filipin uzbierali...18 milionów euro. Czyli jeden facet (a może to była zresztą kobieta?) wydał na jeden obraz wielokrotnie więcej, niż cała współczująca społeczność, dosyć przecież bogatego, państwa na pomoc ludziom skrzywdzonym przez los. Czy to jest normalne!? Dla tego wielkiego wielbiciela sztuki kilka milionów dolarów, to jak drobne dla nas, a te nasze drobne mogą czasem stanowić o życiu lub śmierci biedaków na – choćby – Filipinach.

A banki, które doprowadziły do największej zapaści ekonomicznej w historii świata? Przecież ci sami ludzie – bo to ludzie, a nie „banki” tego dokonali – robią w tychże samych bankach znowu dokładnie to samo! I mówią, że to „system” jest być może zły, bo oni nie mają sobie nic do zarzucenia. Czytam, że jeden z dyrektorów Rabobanku (który ma za nadużycia zapłacić ponad 700 milionów euro kary) został zmuszony do rezygnacji z funkcji, ale niewykluczone, że dostanie ponad 5 milionów odprawy!

A bezkarni, skorumpowani „politycy”, których najczęściej nie spotyka żadna przykrość, a którzy stają się uosobieniem polityki i polityków w ogóle, doprowadzając do sytuacji, jak w „Jakoś to będzie”, gdzie „wiadomo, że wszyscy kradną i biorą łapówki”, i że dochodzimy do momentu, że głównym głosem w dyskusji staje się głos tzw. „prostego człowieka”. I konkluzja, że „przed 89-tym było lepiej” (ale tylko w tym sensie, że wiadomo było komu i ile trzeba „dać w łapę”).

Ta sztuka była zabawna, chwilami naprawdę śmieszna. Ale przecież był

to śmiech gorzki, przez łzy niemal. I nie bez powodu przypomniano w niej stare, dawno przez Mikołaja Gogola postawione pytanie: „Ludzie, z kogo wy się śmiejecie? Z siebie samych się śmiejecie”. A bodaj czy nie najsmutniejsze jest w tym wszystkim to, co usłyszałem od Jacka Kałuckiego w rozmowie po spektaklu. Że, mianowicie, sztuka to została napisana w 2005 roku. No cóż, pewne rzeczy, jeśli w ogóle, to zmieniają się wyłącznie na gorsze, niestety.

A na tle tych wszystkich ponurych przemyśleń, które od dłuższego czasu już we mnie się kotłują, a pod wpływem wczoraj obejrzonej, wspomnianej wyżej sztuki na powierzchnię w ten niedzielnny rano goryczą wypłynęły, odbija się jeszcze ostrzej wrażenie z przeczytanej właśnie książki: „Ostatnie rozdanie” Wiesława Myśliwskiego, którą to książkę wszystkim Państwu niniejszym gorąco polecam. Pisałem już na tych łamach o „Widnokreśgu” i „Traktacie o łuskaniu fasoli” tegoż Autora, wiedzą więc Państwo, iż należy Myśliwski do tego niewielkiego kręgu pisarzy magicznych, którzy kiedyś podbili moje serce i którym pozostanę wierny, nawet kiedy zdarzy im się napisać coś mniej udanego. Na szczęście Myśliwskiemu się nie zdarza!

Były owszem chwile zwątpienia, ale im bardziej zbliżałem się do końca, tym bardziej tę książkę doceniałem, jakby dojrzywała we mnie w trakcie lektury, jakby coś w niej, albo we mnie, w miarę przewracanych kartek rosło i nabrzmięwało. Słowa i zdania, często formujące całe długie fragmenty pozornie nieprzy-



Haga – w teatralnym foyer

fort. Archiwum autora

stających do siebie, a czasem nawet nużących opowieści układac się zaczęły w całość piękną, wzruszającą i – może przede wszystkim – mądrą. Ale mądrą mądrością nie książkową, nie encyklopedyczną, tylko mądrością wynikającą z czyjejś dojrzałości, z czyjegoś zbioru doświadczeń uzupełnionych zdolnością obserwacji. I nagle te wszystkie niezwykle, niczym zdawało się ze sobą niepowiązane wątki, tysięczne dygresje i wycieczki w bok, o konstrukcji przypominającej wręcz „Rekopis znaleziony w Saragossie”, układają się w całość spójną i wyrazistą, w zapis naszej historii ostatnich kilkudziesięciu lat, w opowieść o życiu w tym dziwnym kraju zwanym Polską. Ale jest to historia nie opowiedziana wprost, tylko tak jakby zaulkami się poruszała, przemykała podwórkami, ogródkami, niemal nigdy nie wychodząc na główną ulicę, ale przecież ją jednak w tle widać, ciągle daje o sobie znać, przewija się i można ją sobie wspinać wyobrazić, choć się na niej nie znajdujemy. Jest to opowieść o Polsce i życiu w niej, o dolach i niedolach jej obywateli, o smutkach, porażkach, ciemnych jej stronach, ale też o sukcesach i zwycięstwach, o wadach, ale i dobrych stronach jej i ludzi w niej żyjących. I nie ma prawie takiej sfery tego życia, której Autor, choćby pobieżnie, nie poruszył. No, może o czasach Solidarności nie zająknął się ani słowem? Ale w tej książce nie o fakty historyczne wszak chodzi, ale o ludzi w historię tego Kraju uwikłanych. A wszystko to znowu, jak w „Traktacie” opowiedziane w formie monologu, spowiedzi niejako, w dodatku urwanej nagle, niemal w pół zdania, choć przecież w sposób logiczny i bardzo chyba przemyślany. A może faktycznie Myśliwski doszedł do wniosku, że nie ma potrzeby ciągnąć dalej tej opowieści? Bo w którymś miejscu trzeba było ją zakończyć, a miejscem tym nie mogła być przecież śmierć narratora. No więc moment, jak każdy inny, a jednak chyba nie taki przypadkowy, bo spójrzmy na treść ostatniego listu z opisem snu, listu, który też jest jakby z innego świata, a i sen nie z tego...

I myślę sobie, że choć chwilami lektura tej książki nie była wydarzeniem wyjątkowo fascynującym, to przecież po jej zakończeniu właśnie jestem zafascynowany; tym kolejnym wielkim dziełem Wiesława Myśliwskiego, który pisał zawsze mądre, ciekawe książki i na którym się i tym razem nie zawiodłem.

Może nie warto więc za bardzo przemawiać się polityką i politykami tak długo, jak długo powstają dzieła sztuki, które pozwalają nam od nich uciec? Więc zachęcam do ucieczki; do książek i do teatru!

GB

Do Siego Roku



JULIUSZ BURGIN

Nowy Rok spędzam na ogół w Amsterdamie. Nawet miałbym z kim świętować w Polsce, ale i tu mam trochę miłych znajomych i bliską rodzinę.

Ci z Was, którzy jak ja – wychodzą przed północą 31-go grudnia na Amsterdam – wiedzą, jak się tę noc spędza na mieście. Ludzie schodzą się na licznych placach, placykach, na mostkach już od 23:30. Wielu niesie szampusy, czy co tam kto ma, a nawet kieliszki. Idziemy, żeby zdążyć i jak wybije dwunasta, wyścisnąć się z życzeniami ze wszystkimi dookoła i pić jednego za drugim. A potem – atrakcja. Społeczność chińska Amsterdamu urządza zawody – która kamieniczka zabłąśnie najbarwniejszą strzelaniną sztucznych ogni porozwieszanych na balkonach i fasadach. Ale i na ulicy strzelają bez przerwy petardy i gwiazdy lecą w niebo i z powrotem. Od fajerwerków rozbyskują frontony kamieniczek nad kanałami, woda w kanałach mieni się tysiącami kolorów.

Koncert huków i błysków trwa z godzinę, a potem rozchodzimy się. Jedni kontynuować zabawę w domu, inni na tańce na bruku przy rozmaitych bandach, grających tu i ówdzie aż do „małych godzin” – wczesnego rana. Masa kafejek jest otwartych, wiele wystawiło dodatkowe bary na chodniku. Okna mieszkań są pootwierane i widać, że wewnątrz też się dobrze bawią.

Policji nie widać. Nie potrzeba. Jesteśmy wszyscy w bardzo dobrych humorach, bo dożyliśmy szczęśliwie do dziś i trochę żeśmy się napili, trochę napalili i życzymy wszystkim Do Siego Roku.

Cztery lata temu odwiedziłem na Nowy Rok przyjaciół w Krakowie. Jest nas czwórka i wybieramy się na Rynek Główny, gdzie Sukiennice i Kościół Mariacki i gdzie zawsze pięknie jest. Już od 23-iej jesteśmy w okolicy i krążymy od knajpki do knajpki, coś się napijemy, pogadamy z wesołymi ludźmi i zerkamy na zegarki.

Po wybiciu końca Starego Roku ma się odbyć pokaz fajerwerków.

Po trochu sphywamy na plac Mariacki. Zauważamy, że w uliczkach do Rynku stoją jeden za drugim policyjne pojazdy, z których wysypują się funkcjonariusze w kurtkach z pałkami w rękach. Ale nikną gdzieś i w rosnącej ciżbie ich nie widać.

Tłum gęstnieje, na Rynku robi cię coraz ciasniej. Ludzie są weseli, podochoceni, ale przez ściśnięcie coraz niecierpliwiej reagują na potrącenia. Wielu ma drink ze sobą. Piją przyciśnięci do siebie. Tu i ówdzie słyhać nabrzmałe odzywki, że „co mi się pcha na kobitę, k...a!” Czasem słyhać przeraźliwe śmiechy.

Prawie dwunasta. Odkorkowuję szampusa. Strzela, psika dokoła i pieni się przez szyjkę. Pokropiony sąsiad zwraca do mnie złą gębę, z której słyhać k...a-macie i podobne. Wśród gwaru, który wzmacnia się, a o dwudziestej czwartej przeradza w wyście 100.000 ludzi, wystrzelują pierwsze fajerwerki. Niebo zakwita kolorami. Jest pięknie i noworocznie, żeby tylko nie cisnął człowieka złowrogi tłum, z którego słyhać przekleństwa a czasem czyjś wrzask

Pokaz sztucznych ogni trwał kwadrans. W mgnieniu oka Rynek Główny opustoszał i nareszcie zobaczyłem gdzie podziała się policja. Pusty Rynek zastał ich stojących wzdłuż wszystkich ścian, dookoła całuśkiego Rynku. Potem prędko załadowali się i odjechali. Na Rynku zamarło.

Oświetlenie jest romantyczne i opustoszały Rynek Główny wygląda przepięknie – patrycjuszowskie kamieniczki, Kościół Mariacki, Sukiennice, śnieg na dachach, w niektórych oknach światło – cicha nocna bajka. Tylko Zakochanej Dorozki brakuje...

Ale kafejki są zamknięte i nie ma gdzie wpaść. Okrążamy markotni Rynek, wtem oaza! Jedna jedyna przyjazna kawiarnia, gdzie zawędrowali tacy jak ja, zagubieni w noworocznym Krakowie, przybysze z dalekich stron. Piękna kawiarnia w stylu art déco brzmiała wieloma radosnymi językami. Za zawiniętym w rogal borem uwija się wesoły, nieformalny barman. Pomaga mu rwąca oczy dziewczyna. Smaczne trunki, apetyczne przekąski. O pieniądzach się nie mówi, bo to i Nowy Rok i kawiarnia cenowo łaskawa. W lokalu śmiech, pogoda, rozmówki ze wszystkimi o wszystkim i trochę muzyki. Więc udało się jednak pozyczyć sobie Do Siego Roku.

JB

Spowiedź Hempla



JACEK KAŁUCKI

16 listopada w Hadze po naszym spektaklu „**Ja-koś to będzie...**” odbyło się w foyer teatru, cudowne spotkanie z widzami. Zaszczycił nas swoją obecnością ambasador RP w Holandii pan **Jan Borkowski** z **Małżonką**. Wieczór upłynął w niemal rodzinnej atmosferze. Treść przedstawienia sprowokowała nas do tego, że wiele rozmawialiśmy o Polsce. Jak jest widziana z oddali i jak oceniają ją ci, którzy mieszkają na stałe nad Wisłą. Jako że była to komedia nie brakowało również śmiechu i anegdot. W trakcie spotkania zdradziłem, że to ja jestem tajemniczym **Jackiem Hemplem** – autorem sztuki. Niestety nie byłem w stanie wszystkim odpowiedzieć na pytanie; jak to się stało że chwyciłem za pióro? Czynię to teraz.

Któregoś dnia przyszła do mnie zwiariowana koleżanka – Joasia. Zajmowała się wieloma rzeczami; marketingiem, impresariatem, organizowała przeróżne imprezy, realizowała niegłupie projekty... krótko mówiąc szukała pomysłu na życie. W tym ostatnim, znajdowaliśmy wiele wspólnego. Miała kolejną propozycję nie do odrzucenia. Zaproponowała, abym przygotował jakąś sztukę dwuosobową. Ma to być; mobilne, współczesne, polskie i do śmiechu, ale nie rechotu. Zimą chciała penetrować górskie tereny a latem nadmorskie – sezon cały rok!

Zacząłem szukać sztuki. Były. Ale albo zgrane, albo angielskie, amerykańskie a tu chodziło o rodzime. Ponieważ wcześniej pisałem krótkie skecze i teksty piosenek kabaretowych, pomyślałem sobie; skoro innych stać na napisanie dramatu, to dlaczego nie mnie?

Polecam takie podejście do sprawy. Czasami przynosi niezłe efekty a szczególnie oszczędności, kiedy człowiek zastanawia się czy wezwać hydraulika do wymiany uszczelek, czy zrobić to samemu? Wprawdzie między uszczelką a „Hamletem” dostrzegam różnicę, niemniej warto spróbować. Nic to, że cza-

sami nie wyjdzie. Za drugim, trzecim razem, może się udać...

Czas gonił, a sztuki nie miałem. Przyszło mi z pomocą samo życie. Czytałem codzienną prasę, oglądałem telewizję, słuchałem radia i stwierdziłem, że to jest niemal gotowy scenariusz! Trzeba tylko wymyślić konstrukcję całości. Odpowiednią pointę, przesłanie i sztuka gotowa. Uwielbiam teatr absurdu – może dlatego tak kocham Polskę. Zawsze zafascynowany byłem Mrożkiem i jego „Emigrantami” ... a więc do dzieła!

Wymyśliłem sobie pana „A” i pana „B”. Jeden chłopiek-spryciula a drugi inteligent, zagubiony w rzeczywistości. – Już jest konflikt.

Umieściłem ich w jakieś poczekalni; nie wiadomo na początku, na co czekają? – Jest zaskoczenie.

„Trzeba z żywymi naprzód iść...” – Jest przesłanie. Więc sztuka gotowa. Teraz trzeba ją tylko... napisać. Proste!

Zaproponowałem współpracę mojemu serdecznemu przyjacielowi – **Sylwowski Maciejewskiemu**. Studiowaliśmy na jednym roku w warszawskiej Akademii Teatralnej. Jako że autor był żyjący i to w dodatku pod ręką, Sylwek podsunął mi parę pomysłów i sztuka zaczęła nabierać realnych kształtów.

Mając na uwadze zasadę **Kazimierza Dejmka**, który mawiał, że „aktor jest

od grania a dupa od srania”, postanowiłem pokazać to moje pisanie autorytetom.

Aby im ułatwić obiektywną ocenę, podpisałem sztukę pseudonimem – **Jacek Hempel**. Był to jednocześnie ukłon w kierunku mojej Mamy, albowiem Hempel, to jej nazwisko panięskie. Powiedziałem, że autor to „...młody dobrze zapowiadający się dramaturg, absolwent filologii polskiej, obecnie przebywający w Stanach Zjednoczonych”. Dodałem również, że „... jest otwarty na wszelkiego rodzaju korekty i mam z nim stały kontakt”.

Pokazałem ją w pierwszej kolejności jednemu z najwspanialszych ludzi, jakich poznałem – scenarzyście, dramaturgowi, reżyserowi – **Maćkowi Wojtyńszce**. Z drobnymi poprawkami, zaopiniował sztukę pozytywnie. Niestety nie mógł jej reżyserować, gdyż prowadził już inne próby w Krakowie, a nasz termin, był na wczoraj.

Poprosiliśmy o pomoc **Krzyśka Wierzbiańskiego**. Reżysera, a przy tym świetnego analityka literatury. Zgodził się nie tylko ze względu na sympatię, jaką wzajemnie się darzyliśmy, ale również na... materiał.

Ponieważ miała to być komedia z elementami farsy, chcieliśmy dodać do tego parę grepsów. W związku z powyższym, zaprosiliśmy na kilka prób



Publiczność w Hadze

fol. Natalia Schroten



Haga – po spektaklu

fot. Natalia Schroten

Stefana Friedmanna. To był strzał w dziesiątkę! Jak Stefek się rozkręcił, musieliśmy z kilkunastu pomysłów zrezygnować gdyż z biednego Hempla nic by nie zostało.

Ostatnim był **Jurek Bończak**, który wyspecjalizował się w wystawianiu fars. Po obejrzeniu szkieletu przedstawienia powiedział:

– Ja tu nie mam nic do roboty. Chłopa – fotosi i w objazd!

Sztukę zatytułowałem „**Jakoś to będzie...**” Nie była to bynajmniej pochwała bylejakości. Chodziło mi o pokazanie pewnych postaw w obliczu transformacji po wstąpieniu Polski do Unii Europejskiej. Oczywiście wszystko z lekkim przymrużeniem oka. „Jakoś”, odwoływało się bardziej do przeznaczenia, przypadku a może i Opatrzności. Trzeba czasem dać sobie trochę luzu i bez nerwów i emocji, które nigdy nie są dobrym doradcą, budować swoje życie. Krok po kroku, mozolnie, do przodu, z optymizmem.

Kiedy w końcu dramaturgiczne dzieło było gotowe, moja koleżaneczka Joasia, wpadła na kolejny genialny pomysł i postanowiła – nomen omen – wyjechać na stałe do Stanów Zjednoczonych! Zostaliśmy z Sylwkiem sami z gotowym spektaklem. Graliśmy go sporadycznie. Niestety z wielkich planów i fortuny nic nie wyszło. I tu właśnie powiedzieliśmy sobie: – Spoko. Jakoś to będzie...

I nagle!

Z polecenia jednego ze znajomych odezwał się do nas londyński POSK –

Polski Ośrodek Społeczno Kulturalny. Wspaniała **Irena Delmar-Czarnecka**, aktorka i śpiewaczka, aktywna organizatorka życia polonijnego w Londynie, prezeska ZASP za granicą, zaproponowała nam przyjazd do Anglii i zagranie dwóch spektakli w tamtejszym teatrze. Polecieliśmy.

Sala była pełna. Kiedy kłanialiśmy się po spektaklu dopadło mnie autentyczne wzruszenie. To było niesamowite, że słowa, jakie skleciłem, miały również nośność i zrozumienie dla Polaków mieszkających na obczyźnie. Na scenę został wniesiony kosz kwiatów, a od Ireny dostaliśmy po olbrzymiej butelce whisky, przewiązanej biało-czerwoną wstążką.

Na widowni siedziała cała najwspanialsza emigracja polska z panią **Ireną Andersową** na czele.

Po przylocie do kraju nawiązaliśmy współpracę z poznańską **Sceną na Piętrze**. Jest to miejsce, w którym każdy szanujący się polski aktor bądź zagrał, bądź zabiega o to żeby wystąpić. Na ścianach w garderobie, widnieją fotosi ze spektakli a na nich dawni i obecni wybitni – czekamy kiedy i nas powieszają!

W Poznaniu zagraliśmy wiele spektakli. Na spotkaniach z widzami, jedno pytanie powtarzało się jak mantra: „*Czy będą dalsze losy bohaterów sztuki; pana „A” i pana „B”?*” **Romuald Grząślewicz** – szef Sceny... wraz z moim przyjacielem Sylwusiem, zaczęli mi w związku z tym wiercić dziurę w brzuchu,

aby napisał ciąg dalszy. Powiem szczerze, że wzbraniałem się przed tym. Po pierwsze nie przepadam za serialami, a po drugie uważałem, że ta przygoda dobiegła końca. Jednak Romek był nieustępliwy. Z wrodzoną sobie siłą perswazji znalazł argumenty i zacząłem pomалу myśleć o dalszych losach moich bohaterów.

Kiedy druga sztuka była gotowa, Grząślewicz postanowił, że prapremiera odbędzie się w poznańskiej Scenie. Reżyserii tym razem podjął się **Stefan Friedmann**. Wspólnie z muzyką napisał **Piotr Żurowski**.

Tym razem sztuka nosiła optymistyczny tytuł: „**Będzie tylko lepiej**”. Niektórzy z holenderskich widzów mogli ją

oglądać dwa lata temu w Utrechtie. W tym przedstawieniu, w rolę pana „A” wcielił się **Marek Siudym**. Moi bohaterowie spotykają się po czterech latach. Los się odwrócił. Inteligent dzięki swoim pasjom, samozaparciu i wiedzy, wyszedł na prostą, zaś chłopek... klepie biedę.

Po premierowym przedstawieniu w trakcie braw czułem zdwojoną satysfakcję. Wcześniej miałem podwójną tremę; jako autor i aktor. Na scenę wywołany został Stefan Friedmann i Piotrek Żurowski. Wzruszony Romuald Grząślewicz, musiał już w trakcie owacji powiedzieć dwa słowa. Kiedy widownia skandowała „*autor, autor...*” zdradził, kto jest owym tajemniczym Hemplem... Wtedy wszyscy wstali z miejsc a brawa były jeszcze głośniejsze. Czułem, że ziemia ucieka mi spod nóg!

Czy będzie trzecia część dywagacji pana „A” z panem „B”? Nie wiem. Wprawdzie już ktoś trylogię napisał... Ale jeśli powstanie, to chciałbym aby jej tytuł brzmiał: „**A nie mówiłem?!**”

Ponieważ zbliżają się Święta Bożego Narodzenia, pozwólcie że zarówno **Całej Redakcji** jak i **Przyjaciołom Sceny Polskiej** złożę najszczerze życzenia:

Aby zdrówko natrętnie kołatało do Waszych drzwi, błahych problemów i poważnych pieniędzy oraz... spełnienia!

Do zobaczenia!!!

Jacek Kałucki
Warszawa

Zima



EWA ZIMMER

Zimno, ciepłej, GORĄCO!

Zrobię im niespodziankę! Gdy zbudzą się o świcie zobaczą biały, magiczny świat. O! I namaluję im kwiaty na szybach. Ale będzie pięknie. Chyba się ucieszą... Nie no, na pewno się ucieszą. Co by tu jeszcze? Rano poprószę trochę śniegiem. Nie ma nic piękniejszego, niż migoczące w świetle latarni mroźne płatki. A każdy z nich inny, żeby było jeszcze piękniej. Do tego wszystkiego oszronię drzewa. Będzie jak w bajce. Na koniec zamrozę jeszcze kałuże. Będą mogli poślizgać się w drodze do pracy. Choć przez chwilę poczują się jak dzieci. Ucieszają się! Tak! Tego to jestem pewna. O! Są wreszcie. I co? I jak?

Wrrrr. Ziiiiimno i ciemno! Kiedy to się skończy. Już mam dość. Rano ciemno, po południu ciemno. Cały czas ciemno. W samochodzie mróz. I oczywiście zamarzl płyn w spryskiwaczach. Skostniały mi palce

u nóg i nos. Chyba mam za cienkie buty. Szkoda, że nie ubrałam jednak rajstop, ale... nie! Nienawidzę rajstop. Cisną, spadają, elektryzują się. A w tym kożuchu to nie da się w ogóle ruszać. Jak mam teraz oskrobać szyby. Tak w ogóle, to mogłam jednak założyć normalne rękawiczki. W tych jednopalcowych nic nie da się chwycić. O matko! A jakie błoto. To się nazywa śnieg? Też mi. Brud. I ta sól. Wszystkie buty mam już od niej zepsute. Dość! Niech to się skończy. Chcę wiosnę, wiosnę, wiosnę!!!

Ale dlaczego? Co się stało? Co ja zrobiłam źle? Przecież tak się starałam?

Dlaczego nie ubieracie się ciepłej, zamiast potem przebierać nogami na przystankach? Dlaczego nie potraficie dostrzec przytulności ciemnych poranków przy herbacie malinowej? Czy naprawdę nie umiecie włączyć w samochodzie ogrzewania? Dlaczego nie kupicie zimowego płynu do spryskiwaczy? Czy od dziś mamy zimą minusowe temperatury? A może nie nauczyliście się w szkole, że woda zamarza w temperaturze poniżej 0° Celsjusza? A już szczytem jest próba odpalania samochodu „na rezerwie”. W sklepach nie sprzedają ciepłych butów? Bynajmniej. Tyle, że wy wybieracie te ładne, włoskie, które w Rzymie nosi się latem! A rajstopy? Wiosną jakoś wam nie przeszkadzają. Błoto pośniegowe to może też moja wina? Czy

to nie wy brudzicie biel tymi śmierdzącymi, trującymi samochodami? Czy nie wy wysypujecie na ulice sól i żwir? Ale oczywiście wszystko przeze mnie. Zawsze słyszę to samo. Ciągłe tylko płacz, jęki, marudzenie. A ja staram się jak mogę, po to by później oberwać po nosie. Czy to nie brutalnie straszyc mnie paląc i topiąc marzanny?

A to przecież ja sprawiam, że świat przez chwilę choćby wygląda jak obraz. Ja sypię śnieg, z którego wy budujecie bałwany, robicie śnieżki. Kto z was nie lubi robić orłów na śniegu? Dzięki mnie możecie jeździć na nartach, sankach, łyżwach. Czy nie rozczulają was lśniąca w promieniach słonecznych soplek lodu? Przecież dla wielu z was jestem natchnieniem. Zajrzyjcie do albumów, galerii, muzeów. Posłuchajcie muzyki, szczególnie tej romantycznej. Zimą każdemu do twarzy w rumieńcach. Nikogo też nie dziwi nierozsmarowany krem na policzkach. Na mrozie krew płynie szybciej. A czy przypadkiem nie zimą chodzicie na romantyczne spaceru z ukochanym. Czy nie wtedy bez wytłumaczenia możecie się jeszcze mocniej do siebie przytulić, ogrzać nawzajem zziębnięte dłonie. Czy nie zimą jeszcze bardziej smakuje gorąca czekolada. Czy nie zimą jeszcze mocniej ogrzewa spokojny ogień w kominku?

EZ



Tropikalne święta



JERZY SKOCZYLAS

Pan Nowak, względnie pan Kowalski znalazł last minute w super cenie i postanowił na Seszelach świętować Boże Narodzenie. Zabrał małżonkę i neseser, po czym z kamerą i z laptopem odleciał w południowe strony czarterowanym samolotem. Zostawił przemarniętą Polskę, zimne zaułki i ulice i udał się w gorące strony, w bajecznie piękne okolice, gdzie zawsze ciepło i przyjemnie, gdzie słońce nigdy nie zachodzi, gdzie dookoła wszyscy cudni, jurni, przystojni, wiecznie młodzi. Gdzie na spowitych złotem plażach dziewczyny smażą się urocze, a obok nich faceci leżą przystojni jako bracia Mroczek. A wśród tych ciał slalomem krążą, serwując gościom wonne drinki, ubrane w kuse, seksy szatki śliczne mulatki i murzynki. I jeszcze dają cud potrawy tak egzotyczne, że o Boże, o których u nas na prowincji człowiek pomarzyć tylko może. Więc się najadasz i upijasz, zasypiasz, po czym znów się budzisz i gestem kiwasz na barmana, bo wszystko w cenie – All inclusive. A w karcie dań lamparci udziec i małpy truflą nadziewane. To na kolację, bo nad ranem nimfy cię zbudzą rozśpiewane. Wniosą sadzone strusie jaja, pasztet z gazeli i z pawiana, na deser antylopę w cieście i *Chateaubriand z hipopotama*. *I tak dzień po dniu, noc po nocy, barman się wdzięczy, morze mieni, kelnerki robią taniec brzucha, żyć nie umierać! Raj na ziemi!*

Jednak po paru dniach byczenia i balowania do upadu pan Nowak, względnie pan Kowalski siadł odmieniony do obiadu. Wyglądał jakby coś w nim pękło, jakby mu nagle lat przybyło. Może to serce lub niestrawność, albo coś złego mu się śniło? Podali drinki, lecz nie wypił,

że są choinki i Mikołaj po białym puchu z workiem brodzi, że jest wigilia i pasterka i że śpiewają „Bóg się rodzi”, że białym łamią się opłatkiem, i dodatkowo jest talerzyk, który w te święta właśnie takim jak on wygnańcom się należy. I się podzielił ze swą żoną sentencją prostą acz okrutną:



bo lód stukając w ścianki szklanek nagle zadźwięczał mu znajomo jak dzwonki u górskich sanek. Zaś orangutan nadziewany luzowanymi kanarkami zapachniał mu, ni mniej ni więcej, jak wigilijny barszcz z uszkami. I jeszcze klezmer co bił w bębny, wydając przy tym dziwne jęki, tak jakoś zawył, że zabrzmiało jak „pójdźmy wszyscy do stajenki”. I nie tknął żarcia ni napitków, chociaż wszyściutko było w cenie, bo sobie nagle uświadomił, że w kraju Boże Narodzenie,

Iza, spójrz na mnie i mów szczerze: też jest ci tak cholernie smutno? I zawył gorzko jak łoś ranny i zaniósł się okrutnym łkaniem, a żona mu zawtórowała tęsknym skowytem i szlochaniem. Łzy im kapały do talerzy, w zupy, przystawki i desery, ryczeli nawet gdy podali na finał prowansalskie sery.

A Szwed i Niemiec patrząc na nich taką się myślą podzielili: patrz Helmut, jeszcze całkiem wcześniej, a już Polacy się upili.

Święto nadziei i światła



AGNIESZKA STEUR

Za mną kolejne spotkanie na temat dwujęzyczności. Bardzo lubię te wyjazdy, ponieważ dzięki nim poznaję ludzi a opowiadając o tym, co wiem, równocześnie jestem zapraszana do ich prywatnego życia. Dzielę się i otrzymuję tak wiele w zamian. Po każdym spotkaniu pozostaje wiele emocji i tematów do przemyśleń. Zabrani w salach ludzie mówią przecież o tym, co dla nich najważniejsze; o dzieciach. Każdy z rodziców czegoś się obawia, przecież wychowujemy nasze maluchy w miejscu, gdzie na zawsze pozostaniemy obcy. My, my, my – obcy, ale nie oni, nie nasze dzieci. Dla nich tego nie chcemy. Każdy z nas chce zrobić wszystko, aby tego naszego poczucia wyobcowania im oszczędzić.

Opowiedziałam o sytuacjach dwujęzycznych, o modelach i badaniach na ten temat. Odpowiedziałam na wiele pytań z tym związanych, ale rodzice chcą dalej rozmawiać. Wcześniej wspomniałam, że język polski to także nasza tożsamość i nasze tradycje, bo przecież musimy je przekazać, a nie można ich w pełni przekazać w obcym języku. Dzięki spotkaniom z rodzicami obserwuję, jak inni sobie z tym radzą.

Teraz już wiem, że jest część przerażona utratą tego, co było i desperacko chwytą się polskich tradycji, mając nadzieję, że jeśli będą podręcznikowo wszystkich przestrzegać, nie stracą tak naprawdę tego, co było kiedyś. Ich dzieci przekraczają próg domu równocześnie przekraczając granicę państwa; są w Polsce, bo za ten próg nie może się wdrzeć nic niderlandzkiego. Dla dorosłych ta sytuacja jest przejrzysta, dzieci są rozdarte między dwoma światami, których pogodzenie wydaje się być czymś naturalnym w świecie małych ludzi.

Inni rodzice, bojąc się poczucia wyobcowania w nowym miejscu, farbują swą narodowość na niebiesko, czerwono i biało. Otwierają drzwi na oścież i do środka wpuszczają Holandię, niestety wypraszając z domostw całą polskość, często z ich życia znikają też język polski. Stają się Holendrami.

Tylko goede morgen, tylko gefeliciteerd, tylko vrolijkje kerstdagen. Nic więcej, a przecież może być tak wiele, może być inaczej. Dzieci pozbawione są całkowicie przeszłości rodziców, ich myśli, snów i tego, kim w wielkiej mierze są ich opiekunowie. Nie znają już polskich słów, kołysanek, kolęd. Taka szkoda, bo przecież o tyle mniej.

A można bez strachu, można z przyjemnością i z radością. Może czasem jest trochę trudniej, ale za to o ile więcej się doświadcza, ile poznaje. No bo co się stanie, jeśli wymieszamy tradycje? Co, jeśli stworzymy nasze święta? Właśnie takie dla nas i z nas, trochę stąd i trochę stamtąd. Tak, jak kiedyś, przed wieloma laty powstawały tradycje.

Boże Narodzenie, jedno z najważniejszych świąt i od razu zmartwienie, co poradzić, bo jednak tradycje polskie i holenderskie bardzo się różnią. Największą

ponad garnkami, rondlami i foremkami do ciast. Wszystko jest tłumaczone troską o tradycje i co gorsze – troską o rodzinę. Jeśli nie spędzi się tyle czasu w kuchni, będzie oznaczać, że zaniedbujemy to, co najważniejsze w naszym życiu. Więc musimy się zapracowywać. A przecież nie można zapomnieć, że za nimi są już świąteczne porządki.

Nie! To zostawiłam w Polsce. Moje święta są rodzinne, bo świętujemy je razem. Dzieci są w domu, mąż też i na chwilę wydaje się, że czas zwalnia. Te dni świętujemy zabawą, gramy planszowymi i pewnie filmem w telewizji wyświetlanym, jak zawsze w tym czasie. Pójdziemy też do kościoła poczuć to, co powinno się czuć w tym czasie, pomyśleć i podziękować. Zapalić świeczkę i znów stać się jednością z czymś poza nami.

A posiłek? O, też będzie i wszyscy będą



Rodzinne Święta

fol. Autorka

bolączką polskich emigrantów jest fakt, że nie ma Wigilii. Więc ją zrobimy!

Wiele razy słyszałam zarzuty, że Holendrzy nie wiedzą, co tak naprawdę się świętuje w czasie tych dni. Świątełka, lampki ale co się za tym kryje? Już tak niewiele się o tym mówi. Teraz już wiem, że to nieprawda. Moje dzieci chodzą do szkoły publicznej i tam o tym się mówi, odwiedzamy pięknie przystrojone kościoły i tam się o tym mówi.

Z czym każdej kobiecie w Polsce tak naprawdę kojarzą się Święta Bożego Narodzenia? Z godzinami spędzonymi w kuchni. To szykowanie, gotowanie, klejenie, pichcenie, pieczenie i smażenie. Kobiety godzinami na nogach wyciskają siódme poty

zadowoleni, będziemy się nim cieszyć. Zrobimy go razem i tak jak my chcemy. Nie będziemy jeść mnóstwa potraw, godzinami i wciąż, a potem zastanawiać się, co zrobić z bólem brzucha, bo aż tyle. Będzie opłatek i ryba też będzie. A to, co będzie, będzie ponieważ chcemy, a nie dlatego, że musimy, bo jak nie to... no właśnie, to co?

Boże Narodzenie to święto życia, początku i wdzięczności. To święto nadziei i światła. Przecież każdego roku życzymy sobie właśnie tego, Wesołych i spokojnych świąt spędzonych w gronie rodzinnym.

Życzę wszystkim z głębi serca świąt takich, jakie do nas pasują, takich jakich sobie sami życzymy, a nie jak nakazują nam inni.

AS

Po północy



AGNIESZKA SADLAKOWSKA

Po Wigilii u Marleny wyszłam na ulicę. Powietrze było mroźne.

Na przystanku tramwajowym stali dwaj mężczyźni.

– Ostatni tramwaj już odjechał – odezwał się do mnie jeden z nich.

Mieli harmonijkę ustną, na której na zmianę grali. Pierwszy był bardzo chudy, drugi gruby i niski.

– Filozof jestem – przedstawił się chudy.

– Jestem kucharzem – ukłonił się kolega.

– Zuza – odpowiedziałam i poszliśmy razem wzdłuż torów tramwajowych, mijani przez trąbiące na nas taksówki.

– Skąd jesteś? – zapytał Filozof, gdy Kucharz przejął harmonijkę.

– Ze skweru Fryderyka Henryka – odparłam, mając na myśli, w którym miejscu skręcam w swoją stronę.

Roześmiali się.

– Chodź z nami do Korsakoffa, masz po drodze – powiedział Kucharz.

Korsakoff przy Lijnbaansgracht przypominał wczesny Remont na Waryńskiego. Parszywe miejsce, do którego zwykle chodziło się po północy i nigdy na trzeźwo. Pora i warunki były zatem odpowiednie.

– Dobra – zgodziłam się.

Bramkarz przyjrzał się nam uważnie, nie wiadomo dlaczego, ale nic nie powiedział. Zaraz po wejściu Filozof znikł w oparach dymu na parkiecie. Razem z Kucharzem usiedliśmy przy barze.

– Czy mogę zaproponować wino? – uśmiechnął się Kucharz.

– Chętnie, czerwone – odpowiedziałam.

Kucharz zwrócił się do barmana, który natychmiast zrealizował zamówienie.

Ze wzniesionym do góry kieliszkiem Kucharz rzucił: – czy Bóg istnieje...

Uznałam ten zwrot retoryczny za toast.

– ...w naszych sercach – powiedziałam.

Kucharz ożywił się gwałtownie.

– Tak myślisz? To znaczy, że nie muszę prowadzić restauracji ojca, nie muszę w niedzielę chodzić do kościoła; chciałbym podróżować. Bóg jest w sercu! – filozofował dalej Kucharz.

– Mogę wyjechać stąd kiedy zechcę!

– Wszystko możesz. To jest twoje życie – odparłam.

– Ty też wyjechałaś. Tak, nie powinienem pytać, skąd jesteś. Wybacz mi.

Zaczął całować mnie po rękach. Wyrwałam swoje dłonie.

– Wybacz mi, ciągnął, wy tam mieliście straszne życie, wojnę, nikt nie ma prawa pytać, skąd jesteś!

Wyraźnie brał mnie za jednego z uchodźców z byłej Jugosławii. W białej, wigilijnej bluzce z koronkami i w czarnej spódnicy do ziemi kojarzyłam mu się z obrazami terroryzowanej ludności, które widział w dziennikach telewizyjnych.

Nie chciało mi się tłumaczyć, że Wigilia, raz w roku, to taka polska tradycja.

Dopiliśmy wino.

– Dobrych podróży – życzyłam mu na pożegnanie.

– Szczęścia w życiu.

– Ja mam dużo szczęścia w życiu, jestem wolnym człowiekiem.

Kucharz został przy barze ze swoimi myślami.

Wyszłam z Korsakoffa i poszłam do domu.

AS

Agnieszka Sadlakowska

Wigilia

kruche jak kwiaty zimowe

w tafti lodu

jak śnieg

i opłatek

kilka słów

życzeń dobrych

ogień kominka

świece tak cicho płoną razem

świerk

lasem zapachniał

suszone grzyby

mchem

jedyna w roku

Cicha Noc

Dwujęzyczność

MAGDA WNUK

Parę miesięcy temu zostałam mamą małego Jarka. Mój szkrab rośnie jak na drożdżach i zanim się obejrzę zacznie chodzić, mówić. Ku mojemu zdziwieniu, często słyszę pytanie czy chcę wychowywać dwujęzycznie syna. Szczerze mówiąc, zawsze mnie to dziwi, gdyż nawet na myśl mi nie przyszło, aby Jarek nie znał języka polskiego. Nie



wyobrażam sobie, jakby się komunikował z dziadkami oraz resztą mojej rodziny. Poza tym, język to nie tylko słowa lub narzędzie służące do przekazywania sobie informacji, to także środek, dzięki któremu mój syn będzie mógł poznać moje korzenie, kulturę, mentalność.

Ostatnio czytałam na jednym z portali informacyjnych dla Polaków w Holandii, że bardzo dużo rodziców (przeważnie kobiet) nie mówi do dziecka we własnym języku, powody tego były różne i nie będę się w nie zagłębiać. Chcę tylko na koniec zadać jedno pytanie: dlaczego ci rodzice nie uczą dzieci swojego języka? Dwujęzyczność – to dar, dzięki któremu nasze dzieci mogą inaczej spojrzeć na świat i będą miały więcej możliwości.

**Magda
Utrecht**

Zamiast potraw wigilijnych



ALICJA GRYGIERCZYK

Pamiętam tę wigilię bardzo dobrze. Miałaś chyba 13, może 14 lat. Po-deszłaś do stołu, po całym dniu wi-szącego w powietrzu napięcia, bo tak dużo pierogów było do zrobienia i ciast do upie-czenia. I jeszcze tyle czasu uciekło nam w sklepowych kolejkach, że mogło dojść do katastrofy i zabraknąć go na zrobienie strudla. Z tym strudlem zawsze było zamieszanie. Był zmorą wigili, bo u babci zawsze wychodził, a u nas jakoś nie. Jak co roku, bez słowa sprzeciwu, w pośpiechu wykony-waliśmy polecenia naszej mamy, im bliżej wieczoru, tym bardziej napiętej i rozdraż-nionej. Ojciec też, ale robił to z niechęcią, co doprowadzało do takich awantur mię-dzy nimi, że dla kogoś obserwującego nas z zewnątrz było pewne, że w tym domu wigilia się nie odbędzie.

Ale nie dla nas. Tego dnia mogło się zda-ryć jeszcze bardzo wiele, ale my wiedziały-śmy, że strudel, nawet nieudany i wszystkie inne potrawy będą podane i przy stole za-

siądziemy na pewno. W przeciwnym razie nastąpi koniec świata.

W wigilię, którą tak dobrze pamiętam, kiedy wszystko już było gotowe i jak zwykłe w ten jedyny dzień w roku, zasiadanie do stołu wyciszało w rodzinie emocje, za-nim usiadłaś, zanuciłaś słowa piosenki: „zaproszcie mnie do stołu, zróbcie mi miej-sce między wami, wspominajcie sobie trudne lata, powiedzcie otwarcie, co ser-decznie boli...”. Zamarłam.

– Nareszcie – pomyślałam i z zapartym tchem witałam rodzącą się we mnie na-dzieję. Zamarli też inni uczestnicy wigili. Na parę sekund zapanowała absolutna ci-sza.

Zaraz po niej nastąpił...wybuch serdecz-nego śmiechu. Chyba jeszcze nigdy nie było tak wesoło. Śmiali się wszyscy: mama, ojciec, wujkowie i ciocie. Uspakajali się na chwilę i zaraz potem wybuchali nowym, niepohamowanym śmiechem. Wśród tego śmiechu umierała we mnie nadzieja.

Patrzyłaś mi w oczy, jak aktor kabareto-wy, który dobrze zagrał swoją rolę, a ja czu-łam porozumienie z tobą i byłam pewna, że między nami nigdy nie będzie niedo-mówień, tylko szczere rozmowy, z których, jeżeli będziemy się dobrze słuchać, zbudu-jemy coś cennego.

Ale los nas rozdzielił. Zamieszkałyśmy w innych miastach, potem założyłyśmy nowe rodziny, baardzo daleko od siebie.

Tak wiele przez te lata się zmieniło, tyle do-brych i złych rzeczy wydarzyło, a mi przez cały czas towarzyszyła tęsknota za tym po-rozumieniem z tobą.

I nagle przyszedł moment, że to ty zaczę-łaś organizować wigilię. U siebie, w swoim nowym domu, przy stole, do którego nie trzeba dostawiać innych, bo jest tak długi, że zawsze jest miejsce dla powiększającej się rodziny. Pod choinką zawsze stos pięk-nie opakowanych prezentów, ale...

W twoim pięknym domu, w dzień wigi-lijny, dominuje tak bardzo znane mi napię-cie, bo jeszcze tyle pierogów do zrobienia i ciast do upieczenia. Strudel wychodzi ci lepiej niż u babci, potrawy wigilijne coraz wykwinniejsze i coraz ich więcej, a kłótnie coraz bardziej mi znajome..

Myszę, że przyszła już pora, żeby w tę wigilię zanucić: „zaproszcie mnie do stołu, zróbcie mi miejsce między wami, wspo-minajcie sobie trudne lata, powiedzcie otwarcie, co serdecznie boli...” i zamiast potraw wigilijnych przeprowadzić szczerą rozmowę, z której, na pewno w bólach, ale jeżeli potrafimy się uważnie słuchać, na-rodzi się coś najistotniejszego. Tym razem już nikt nie będzie się śmiał, tego jestem pewna. Czy nam się uda? Nie wiem. Ale jeżeli to zrobimy, to naszym dzieciom już uda się na pewno. Przez rozmowę dotrzeć do serca.

AG



*Love is what's in
the room with you
at Christmas if
you stop opening
presents and
listen.*

Świąt czas, zapach choinki, prezentów moc...



MAREK GRĄDZKI

Krokami wielkimi zbliża się Zima i Gwiazdka, moje ukochane święta. Czas gdy cała rodzina siada przy jednym stole, dla niespodziewanego wędrowca miejsce czeka, cichną spory, waśnie, nawet z teściową opłatkiem przełamać się należy. Dzieci rodzicom cześć oddają. W moim rodzie jest tradycja obfitego stołu. Tak więc czekają na swoją chwilę ususzone całe kapelusze grzybów prawdziwych. Ale zacznijmy ab ovo. Po opłatku siadamy, każdy zna swoje miejsce, wkraczają śledzie, majtasy rzecz jasna najlepszego jakości. Jest tradycyjny w oliwie z cebulką zmożoną, za nim w śmietanie, my ją na sztywno ubijamy i kryjemy, za nimi węgierski na ostro, w winie na słodko, potem pod pierzynką czyli przykryty ziemniaczkami posiekanymi, buraczkami utartymi, selerem blanszowanym, porem pociętym, na to śmietana z jedną trzecią dobrego majonezu. Można by jeszcze wymieniać,



czasami i na dwunastu jak apostołów się kończy. Tak więc po ociupinie brać należy. Za nimi barszcz na kiszonych buraczkach, gdzie mocny wywar włoszczyznowy z liściem laurowym zalany zostaje i jeno podgrzany, nie gotowany, leciuchno solą, białym pieprzem i łyżeczką octu balsamicznego zaciągnięty. W nim to pływają uszka z grzybami. Potem kapelusze prawdziwkowe kilka godzin w mleku moczone, spanierowane tartą bułeczką i jajkiem jako kotlety, do nich pierogi smażone z kapustą i grzybami. Wtedy na stół wkracza król wigilijnej wieczerzy – Pan Karp. Jest on jeziorny, nie z żadnego stawu, mocny, nie tłusty nadmiernie. Dzwonka usmażone saute, panierowane, w temperze, duszone w śmietanie, po nich ten po żydowsku, by oddać cześć Starszym Braciom w Wierze i rzecz jasna tradycyjny w galarecie. Wtedy nadchodzi czas na kutię i makagigi, bo bez ziaren pszenicy i maku w domu szczęścia nie ma. Miód zaś z mojej pasieki, co go latem pszczołki-pracownice boże naniiosły. Rzecz zaś kończy tort orzechowy, bez grama mąki upieczony i kawa uwarzona w miedzianym ty-

gielku, niestety już nie przez Mojego Ojca, który teraz życzliwie na nas z góry spoglądając parzy ją Świętemu Piotrowi. Dzieci niecierpliwie wiercą się przy stole, sam pamiętam jak brzdącem będąc czas mi się dłużył, ale jeszcze kolędy odśpiewać należy Dzieciąteczko chwalać. Dopiero gdy w kominku ogień strzela czas na prezenty i grę w orzechy – cetno, lichy. Takiego to szczęścia Wam wszystkim życzę, w Starym jeszcze i by się na Nowy przeniosło! Gdy zaś o potrawach poczytać dokładniej chcecie wejdźcie na www.ziemianinwkuchni.blox.pl Tam ci przepisów dostatek.

Serdecznie Was pozdrawiam zdrowia życząc

ZIEMIANIN



Rozmowa z Markiem Niedźwieckim o tęsknotach i Holandii



ALINA DRAGAN

A.D. Za kilka lat miną cztery dekady naszej przyjaźni, ale Twoja pierwsza wizyta w Holandii była długo przed moim zamieszkaniem w Amsterdamie.

Marek Niedźwiecki: To było w 1976 roku, wakacje. Pierwszy raz w życiu poleciałem samolotem. Warszawa – Amsterdam. Beppie mieszkała w Tilburgu. Z lotniska pojechałem autobusem na dworzec kolejowy. Tam wymieniłem 50 dolarów na guldeny. Pan w kanciarze długo oglądał banknot. Był trochę nadjedzony przez korniki, bo mój Tato trzymał go w ścianie drewnianej, między deskami. Musiałem wymienić kasę, żeby kupić bilet kolejowy. Kiedy już miałem bilet to czekałem na „stoptrein”, bo „Intercity” na pewno był droższy. Tak my-

ślałem, ale nikogo nie zapytałem. U nas pociąg pospieszny był droższy. A więc jechałem do Tilburga, zatrzymując się na każdej stacji...

– Jak poznałeś Beppie?

– Beppie była jedną z dziewczyn, z którymi korespondowałem. Była taka moda w tamtych czasach. Adres Ewana z Londynu usłyszałem w Radiu Luxemburg. Udało mi się go zapisać. Napisałem do kolegi, ale on mi odpisał, że dostał tak wiele listów... Nie ma szans na korespondencję. To poprosiłem go o jakieś adresy, z których nie skorzysta. Jeden z nich był do Beppie w Tilburgu. Taka to historia. Beppie odwiedziłem dwa razy, Ona nasz kraj też dwa razy. Bardzo Jej się tutaj podobało, ale nie jadła naszych zup. U nich codziennie rosół...

– Jakie pierwsze wrażenia pozostały Ci po tamtym pobycie w Holandii?

– Fantastyczne! Same dobre. Czysto, pięknie, kolorowo, słonecznie... Żółte światła sodowe jako oświetlenie ulic. U nas niczego takiego wtedy nie było. Poza Tilburgiem odwiedziłem jeszcze tylko Utrecht i Amsterdam. Nigdy nie zapomnę smaku „7up”. To był smak zachodu. Zresztą wszystko mi smakowało. Codzienny rosół z „balletjes” gotowany przez Mamę

Beppie także. Nie szalałem z kupowaniem jedzenia, bo biednie było...

– Wtedy też pracowałeś w Tilburgu...

– Tak, w tej samej fabryce, co Beppie. Ja byłem takim od „przynies, wynies, pozamiataj”. Ale 200 guci (gulden) wpadło za 5 dni pracy. To było 100 dolarów. Byłem bogaty!

– Co zakupiłeś za zarobioną „fortunę”?

– Jeansy, sweter szetland, jakieś skarpety, majtki (nie ma jak w Hema!). No i przede wszystkim płyty. Wtedy jeszcze analogowe.

– Może jeszcze opowiesz o swoich wizytach w lokalnym sklepie muzycznym.

– Codziennie kupowałem w sklepie Tommy jedną płytę. Chciałem po prostu mieć więcej pięknych, złotych torebek plastikowych. Ostatniego dnia poszedłem w półki jakoś tuż po otwarciu sklepu, kiedy pojawiło się tam już kilku klientów. Kupowałem na razie oczami. Co wybrać? Zestaw dwupłytowy z największymi przebojami Cliffa Richarda, czy może Steve Miller Band i Eagles? Na wszystko nie było kasy. Można było posłuchać płyt przed zakupem, no to słucałem. Kiedy z wypiekami na twarzy po kilku godzinach już byłem pewien wyboru, ktoś dotknął mego ramienia



Marek Niedźwiecki w Amsterdamie

foto. Archiwum MN

i powiedział: przepraszam, ale już zamykamy. Była 18.

– **Potem, gdy zamieszkałam w Amsterdamie odwiedzałeś mnie regularnie. To była druga połowa lat 80. Czy te pierwsze wrażenia bardzo się różniły od tych późniejszych?**

– Później było tylko lepiej. Odkrywałem nowe smaki. Polubiłem białe piwo z cytryną, śledzia na *grachten*. Z pieniędzmi już nie trzeba było aż tak się liczyć. Mogłem sobie pozwolić na zakupy w Blokkerze, uwielbiałem „service with the smile” w sklepach z płytami Free Record Shop. Latem 1987 roku w Amsterdamie kupiłem moje pierwsze płyty CD. Dwie. Whitney Houston (ta z piosenką „I Wanna Dance With Somebody”) i Gina Vannelli’ego z „Wild Horses”. Kosztowały po 40 guldenów. Uzależniłem się od cukierków vicks (teraz kupuję je w mojej aptece...)

– **Wiem, że Amsterdam zawsze będzie Ci się kojarzył ze mną, ale... z czym jeszcze?**

– Z marchewką z sosem Sambal Oelek, z indykiem z przyprawą Dragon. Z najlepszą na świecie kawą latte z gorącym, roztrzepanym mlekiem... No tak, ale to ciągle Ty! A! przywoziłem pałki yucca, które w domu puszczały liście. To były moje prezenty dla Rodziny w kraju. Siostrze kupowałem cebule tulipanów. *Patat orloch*. Krem z pomidorów w „naszej” restauracji nad kanałem. *Broodje gezond*, które kupowałaś w „twojej” piekarni. No i jeszcze te długie spacerunki po mieście. Uwielbiam to, bo jestem piechurkiem. Amsterdam jest takim przyjaznym miastem. Koncerty? Eagles w Ahoy, David Bowie i Michael Jackson na stadionie Feyenoordu w Rotterdamie, Cowboy Junkies w Paradiso. Sting, Joe Cocker, Paul Simon... To wszystko widziałem w Holandii. Van Gogh Museum, „Nachtwacht” w Rijksmuseum. Hard Rock Café, kiedy jeszcze tam była. Takie niebieskie duże mydło, które bosko pachniało. Wspomnień jak widać moc.

– **Bardzo dużo podróżujesz. Ostatnimi laty głównie do Australii? Czy miałeś taki moment w życiu, że chciałeś gdzieś zostać czyli wyemigrować?**

– Nigdy i nigdzie. Tutaj jest moje miejsce. Uwielbiam, a raczej uwielbiałem podróżować, ale zawsze najbardziej lubię wracać. Do siebie, do mieszkania, do miejsc, do ludzi...

– **Powiem szczerze, że nie za bardzo Cię widzę na stałe za granicą. Za każdym razem, gdy wyjeżdżasz w momencie jak już się pakujesz żałujesz, że lecisz i wtedy mówisz, że to już ostatni raz...**

– Tak. I to się potęguje i pogłębia. Nie znoszę pakować walizek. No a z tym jest związane podróżowanie. Za to lubię wspominać i oglądać zdjęcia z podróży. Cza-

sem wydaje mi się, że to niemożliwe, że w tyłu miejscach byłem, tyle widziałem. Stres „przedpodróżny” mija mi na lotnisku. Kiedy niczego już nie da się odwrócić. Kiedy bagaże już nadane... Lecę na koniec świata!

– **A potem jak już tam jesteś to po dwóch tygodniach wchodzisz do internetu na polskie strony i tęsknisz. Za czym wtedy tęsknisz?**

– Nie zawsze tak było, pamiętaj. Internet to jednak ostatnie lata. Kiedyś zamykało się drzwi za sobą na 4, 6 tygodni. Nie dzwoniłem do kraju, po prostu nie było mnie. To były wakacje! Za czym tęsknię? Za codziennością i może trochę za moją samotnością. Oswoiłem ją i polubiłem. Jest mi z tym dobrze...

– **Nasza rozmowa ukaże się w okresie świątecznym. W tym czasie wielu Polaków mieszkających czy pracujących poza granicami zjeżdża do Polski, aby tradycyjnie spędzić Wigilię i Święta. Czy spędziłeś kiedyś Wigilię poza granicami?**

– Kilka razy. W Melbourne, Hobart, a także jeden raz w Nowej Zelandii. Ten ostatni raz w podróży. Była niesamowita atmosfera. Piątka Polaków na końcu świata i nietypowa kolacja wigilijna. Będę to zawsze pamiętał. W Melbourne i Hobart było „po polsku”. Tyle, że za oknem lato... Chyba pierwszy raz był najtrudniejszy, ale dałem radę.

– **Gdy wspominasz Wigilię z rodzinnego domu, co jest najmocniejsze w tych wspomnieniach?**

– Choinka, zawsze pięknie ubrana i pachnąca. Najczęściej jodła, bo dłużej mogła postać. Zapachy... Tak, zwłaszcza zapach zupy grzybowej. Nikt nie robi takiej, jaką robiła moja Mama. Mocna, intensywna, śmietanowa. Pyszna... Mój numer jeden potraw wigilijnych. Ważne było także to, że byliśmy razem. Mój Tato zmarł w Wigilię 1993 roku. Od tamtej pory święta są już inne.

– **Czy spędziłeś kiedyś Wigilię w radiu?**

– Tylko wigilijne ranki. Uwielbiam je zresztą. Tak do południa. Można grać bezkarnie „piosenki z dzwoneczkami”. Niekoniecznie „Last Christmas”. Mam ogromną kolekcję płyt z muzyką na te święta, co roku się ona powiększa. W tym zachwyam się nowym albumem Mary J. Blige. Wieczory w Wigilię prowadzi w Trójce od lat Baszka Marcinik. Dzwoni zresztą do mnie na te końce świata. Tutaj Wigilia, a tam już rano Pierwszego Dnia Świąt.

– **Czy Lista Przebojów Trójki, którą stworzyłeś 31 lat temu jest wciąż Twoim ulubionym programem?**

– Lubię radio. Bardzo lubię prowadzić programy na żywo. A Lista jest jednym z nich. Wolę budować nastroje w audy-

cjach autorskich, ale Lista to ciągle wyzwanie i niesamowita energia.

– **Masz jakieś marzenie związane z takim programem?**

– Niech sobie trwa na antenie. A jeśli zjawi się ktoś, kto to wszystko ulepszy, odnowi, uatrakcyjni, to ja chętnie się wycofam. Nie mam z tym problemu...

– **Lista nie jest odzwierciedleniem Twojego gustu muzycznego. Nigdy nie była, ale z upływem lat ten rozdzwięk jest większy. Czy jest Ci trudniej być otoczonym piosenkami, których – sam układając program – nigdy byś nie wybrał?**

– Tak, to właśnie jest wyzwanie. Ja w Liście nie jestem od pokazywania swoich fascynacji muzycznych. Dostaję wydruk top50 i mam z tego zrobić takie 3 godziny, żeby słuchacze nie odeszli od radia. I staram się zawsze na 100%. A że nie zawsze wychodzi? Nie codziennie jest niedziela...

– **Byłem gościem na Liście Przebojów ponad 20 lat. Kilka lat temu zdecydowałam, że wystarczy moich występów na antenie. Ale może na 35 lecie Listy Przebojów wejdziemy razem o 21.30, tak jak za dawnych czasów, i porozmawiamy jakby nigdy nic... Widzisz taką sytuację?**

– No pewnie, że widzę! A słuchacze na to ciągle jeszcze czekają. Ci najwierniejsi... Sama wiesz, że co jakiś czas pytają, kiedy Pani Alina znów zacznie „palić” dowcipy na Liście. Nic nie będzie, jak było, ale trzymam Cię za słowo. Tyle, że to będzie w 2017 roku. Za trzy i pół roku. Doczekamy?

– **Nie mamy wyjścia. Z tym pozytywnym postanowieniem dziękujemy Państwu za uwagę i życzymy Wesołych i radosnych Świąt oraz wszelkiej pomyślności w Nowym Roku.**

ALINA I MAREK
www.marekniedzwiecki.pl

Alina Dragan była od 1987 roku korespondentką Listy Przebojów Programu III Polskiego Radia. Nadawała z Amsterdamu, także do Zapraszamy do Trójki, oraz do autorskiego programu Marka Niedźwieckiego „Markomania”. Jako korespondentka współpracowała także z takimi stacjami jak: Radio Plus Gdańsk, Radio Białystok, Radio Łódź oraz Radio Merkury Poznań. Przez wiele lat pracowała w europejskim tygodniku branżowym dla radiowców „Music & Media” w Amsterdamie, wydawanym przez VNU/Billboard Group. Od ponad 20 lat zajmuje się radiem, organizowała przez 13 lat konferencje dla polskich radiowców i wciąż prowadzi portal dla profesjonalistów z branży radiowej. Z Markiem Niedźwieckim łączy ją nie tylko przyjaźń, ale także ponad 20 lat wspólnych wejść antenowych. Powyższą rozmowę przeprowadziła i opisała specjalnie dla kwartalnika „Scena Polska”!

Cenzura



JAN BROKKEN

TŁUM. ŁUKASZ KOTERBA

Moja pierwsza w życiu konferencja prasowa nie cieszy się dużym zainteresowaniem. Dobrze, jestem w Dżakarcie i Indonezja nie leży jeszcze u moich stóp. Ale jednak.

Czekam już około dwudziestu minut, kiedy do salki Domu Erazma wtacza się w końcu jakiś staruszek. Jego spojrzenie biegnie badawczo wzdłuż posiłków, stojących na stoliku z boku, jakby zastanawiał się, czy już za chwilę nałoży sobie jeden czy dwa talerze. Następnie siada obok mnie.

– Pana nazwisko? – wzdycha.

Z wewnętrznej kieszeni wyciąga wyswiechtany notatnik.

Na placu przed Domem Erazma hałasują dzieci. Z oddali słyszę niekończącą się symfonię klaksonów, która czyni z ruchu ulicznego Dżakarty przedsiónek piekła. Wentylatory spod sufitu kręcą się zbyt wolno, by dać jakąkolwiek ochłodę. Ryz pachnie zachwycająco.

Pomiędzy moją pierwszą a drugą wizytą w Indonezji mija dokładnie dwanaście lat. Dżakarta z 1979 roku wykazywała jeszcze pewne podobieństwo do Bawarii, jaką z roku 1935 znali moi rodzice. Ale Dżakarta z 1991 nie ma nic wspólnego z miastem, które przemierzałem w roku 1979. Stała się światową metropolią, podobnie jak Singapur, Tokio czy Hongkong.

Jestem tutaj na zaproszenie Niderlandzkiej Unii Językowej z paroma wykładami, które wygłoszę razem z trzema innymi pisarzami z Holandii i Belgii oraz z sześcioma pisarzami i poetami z Indonezji. By uniknąć jakichkolwiek pozorów neokolonializmu, organizatorzy nadali wykładom charakter programu wymiany kulturalnej. My przemawiamy po niderlandzku, Indonezjczycy w Bahasa.

Na „spotkanie zagranicznych pisarzy z prasą”, jak napisano w programie, stawiam się razem z Kristien Hemmerchts i Brigit Raskin. Krisien i Brigit nocują u ambasadora Belgii. Prawdopodobnie

wloką się już trzecią godzinę czarnym mercedesem i zastanawiają, czy nie było sensowniej pójść piechotą. Potrzeba całego poranka, by dostać się z południa miasta do centrum. Także pod tym względem Dżakarta upodobniła się do Tokio czy Mexico City: wielki korek, który nigdy się nie kończy i dniem i nocą cuchnie jak rafineria.

Siedzę więc sam obok tego jedyne go mężczyzny, który przyszedł na obiad i pro forma pyta mnie o nazwisko.

– Jak to się pisze?

Notuje „Brokken” drukowanymi literami pod innym nazwiskiem, nazwiskiem przestępcy, domyślam się, które przed chwilą zapisał na konferencji prasowej policji.

– Gdzie pan mieszka?

– W Amsterdamie.

Potakuje z powagą. Wydaje się, że nie potrafi wydobyć z siebie kolejnego pytania.

– Zna pan Amsterdam? – pytam, by dać mu chwilę na zastanowienie.

Ponownie potakuje i uśmiecha się. W jego ustach naliczam dwa zęby, dwa brązowe kikuty.

– Przede wszystkim Zeedijk [dzielnica Amsterdamu słynąca m.in. z prostytucji – Ł.K.] – teraz śmieje się na całego i brązowe kikuty drżą razem z jego ustami.

– I?

– Tego nie muszę panu opowiadać!

– Nie znam Zeedijk z przeszłości.

– Dziewczyny palce lizać.

Boję się, że brązowe kikuty się połamią.

– Mówi pan dobrze po niderlandzku.

– A co pan myśli, jestem stary. Wciąż w pracy, ale stary. W 1939 zacząłem w „Lokomotywie”. Mówi to coś panu? Niderlandzkojęzyczna gazeta... Reporter-stażysta w dzienniku „Lokomotywa”.

– Wiele doświadczeń?

– Dyscyplina. Pięć lat temu, kiedy byłem w Holandii, odszukałem mojego dawnego redaktora naczelnego. Mieszkał w wiosce koło Deventer. Osiemdziesiąt trzy lata. Wyprostowany jak struna. Dwa razy wyższy ode mnie. Ścisnął mi dłoń przez co najmniej dziesięć minut. – Że też o mnie nie zapomniałeś – powiedział. Odpowiedziałem: – Do roboty – Tak kiedyś zawsze pokrzykiwał. – Panowie, do roboty.

– Musiało mu się tam podobać.

– Właściwie nie. Powiedział, że miał niewiele okazji, by cieszyć się życiem w tropikach. Praca, praca i jeszcze raz praca.

Powiedział: powinienem iść za waszym przykładem, wy potraficie mieć dystans do tych rzeczy, wy potraficie cieszyć się życiem.

– Tak, to prawda... My żyjemy bez życia.

– Ale z dyscypliną. Dyscyplina jest wielkim dobrem.

Częstuję go papierosem. Zapala z uśmiechem pełnym wdzięczności. Następnie jego wzrok biegnie po stoliku bufetowym.

– Myśli pan, że możemy już sobie nakładać?

Podczas gdy jemy przekąski, przychodzi kilka pań. Kobiety przed siedemdziesiątką, które bezspornie czytać i pisać nauczyły się jeszcze od holenderskich nauczycieli. Na starość zostały członkiniami herbacianego klubu, zorganizowanego przez jakąś Holenderkę. Moją matkę na przykład, na werandzie jej domu w Makassar.

Kobiety kiwają głowami w moim kierunku, jakby wciąż widziały mnie w kojcu. Wciąż blondyn! Ale jaki się z niego duży chłopiec zrobił w międzyczasie!

Spójrzcie na mnie choć trochę wściekle, mówię do siebie w myślach. Pomyślcie o powstaniach, zamordowanych, o pożarach, o tłących się obozach...

Ale nie, one się do mnie uśmiechają.

Tak to jest ze wspomnieniami: dobre wygrywają ze złymi. Wiem, co te kobiety za chwilę mi powiedzą: to były momentami ciężkie, trudne czasy, ale też wesołe.

Nie myślę się.

– Tyle ze sobą dzieliliśmy – mówi jedna z pań.

– Cztery wieki...

Wypowiadam to jak oczywistość i czuję się na poły kolonistą. Żeby tylko nie zaczęły się do mnie zwracać toewan [w j. malajskim „pan” – Ł.K.] Brokken!

Na kolonialną przeszłość moich rodziców zawsze spoglądałem niejednoznacznie. Wydawało mi się to egzotyczne, kiedy w naszym domu, w holenderskiej wiosce, Makasarczycy, Toradżowie, Bugijczycy, Ambończycy i Jawajczycy podawali do stołu; kobiety w sarongi i kabaai. Uwielbiałem ich łagodny głos, ich uśmiech, ich uprzejmość... Ale jednocześnie niepokoiło mnie ich poddaństwo, ich spokój, z jakim schylali głowę przed moim ojcem i matką, a nawet przede mną.

W końcu pojawia się paru młodzieńców. Bez notatnika, ale z japońskim ma-

gnetofonem i aparatem fotograficznym. Uścisk dłoni, skinięcie głowy. Wzdycham z ulgą. Szybkie chłopaki, które załatwiają rutynową robotę, nie nudzą o radościach sprzed lat i myślami są już pewnie w drodze do kolejnego newsa, wypadku samochodowego na autostradzie, bójki w autobusie albo prezentacji raportu rocznego Banku Tokio.

Współczesność wkracza także w inny sposób. Wchodzi ubrana w mundur. Dla oficera to także rutynowa robota. Obecność przedstawiciela wojska wymagana jest na każdym publicznym spotkaniu, zatem także na konferencji prasowej, zorganizowanej przez holenderską ambasadę.

Oficerowi towarzyszy sekretarz ambasady. Obaj zajmują miejsca przy wejściu. Oficer wyciąga z torby magnetofon, kładzie go na stole i demonstracyjnie włącza.

Nieświadomie będę uważać na moje słowa. Nieświadomie nie będę rozwódzić się na tematy polityczne. Nieświadomie będę nijaki.

Po pierwszych pytaniach, które – zgodnie ze wschodnią grzecznością – zadają najstarsi dziennikarze, mężczyzna od „Lokomotywy” i kobieta od herbacianych wieczorków u mojej mamy, głos zabiera młodzieniec.

– Jak to jest być pisarzem w Holandii?

Uśmiecham się i mówię:

– Łatwo... i trudno. Pisanie jest wszędzie i zawsze trudne, tak jak wszędzie i zawsze trudno sobie wyrobić nazwisko.

Bzdury do kwadratu, mówię do siebie w myślach.

Drugie pytanie, od tego samego dziennikarza.

– Czy w Holandii jest cenzura?

Ożywiam się.

– Nie. Dzięki bogu nie.

Wszyscy młodzi dziennikarze spoglądają na mnie z niedowierzaniem. Pozwalam mojemu spojrzaniu spocząć na oficere i powtarzam:

– Nie, jest wiele złych rzeczy w Holandii, ale mogę z całkowitą swobodą pisać, to, co chcę.

– Sure?

Potakuję ze zdecydowaniem.

Pozostałe pytania dotyczą liczby czytelników moich książek oraz moich średnich rocznych dochodów. Albo, jak pyta jedna ze starszych dam:

– Jak bogaty jest pan właściwie?

Po konferencji prasowej jeden z młodych dziennikarzy bierze mnie na osobność.

– Tam, przy końcu korytarza.

Przy końcu korytarza wpycha mnie do pokoiku i przykłada magnetofon tuż

do moich ust. Urządzenie jest niewiele większe od dyktafonu.

– Rozumiem, że tam przed chwilą nie mógł pan swobodnie odpowiadać – mówi po angielsku. – Jest pan tutaj na zaproszenie holenderskiej ambasady i pana pobyt został opłacony przez holenderski rząd. Czy może się myłę?

Zastanawiam się chwilę, czy nie wytłumaczyć mu cierpliwie, że mój pobyt opłacony został przez Niderlandzką Unię Językową, ale wtedy następnym pytaniem będzie, kto tę Unię Językową finansuje i wtedy przecież znów dojdziemy do rządu. Więc czy się myli?

– Nie za bardzo.

– Dobrze, nikt nas nie słyszy, może mi pan udzielić szczerzej odpowiedzi. Jak ostra jest cenzura w Holandii?

Spoglądam na niego. Nie ma jeszcze dwudziestu pięciu lat. Wychował się pod panowaniem dyktatury wojskowej. Nauczył się czytać i pisać w państwie policyjnym. Każdą literę, którą chce opublikować, musi przedłożyć cenzorowi.

– Be honest.

– W Holandii nie ma cenzury. Ani w żadnym innym kraju Europy Zachodniej. Ani w Belgii, ani w Niemczech. Ani w Anglii, ani we Francji. Możemy pisać to, co chcemy.

– Ale jeśli nazwie pan prezydenta bandytą?

– Wtedy zostanie to opublikowane. Ewentualnie premier może wytoczyć mi proces o oszczerstwo lub pomówienie.

– Czyli jednak cenzura.

– Wtedy jest to już opublikowane w gazecie czy książce. Przeciwno tej publikacji premier może rozpocząć procedurę sądową. W żadnym kraju na świecie nie można ot tak wyzwać kogoś od bandyty. Trzeba przedstawić argumenty oraz fakty i dowody.

– Sędzia powie, że dowody są słabe i autor trafi do więzienia. Rozumiem to. Wszędzie na świecie jest tak samo.

– Nie – nie powiedziałem, ale krzyknąłem – Listen... W niektórych krajach pisarze i dziennikarze są wolni. Naprawdę wolni. I tak powinno być na całym świecie.

Z uśmiechem potrząsa głową.

– Wolność przecież nie istnieje, proszę pana. Nigdzie.

Nie odgrywa tego. Jest szczerzy. Nie może sobie tego wyobrazić.

– Uwierz mi – mówię – Jeszcze nigdy nie przedłożyłem swojego tekstu cenzorowi. Jeszcze nigdy. Mam nadzieję, że wy tutaj za dwa albo cztery albo sześć albo dwadzieścia lat będziecie mieć podobnie.

– Cenzura będzie zawsze.

– Tak nie musi być. Nie.

– Cenzura będzie zawsze.

– Nie, chłopie! – teraz naprawdę zaczynam krzyczeć.

– No problem, sir. You and me friends. And now a big smile, for the picture.

Cofa się o dwa kroki, przykłada aparat do oka i błyska fleszem.

Następnego ranka uśmiecham się wieloma białymi zębami do czytelników największego dziennika w Dżakarcie.

W opisie pod zdjęciem wychwalam przyjaźń pomiędzy narodem holenderskim i indonezyjskim, nazywam premiera Holandii bandytą oraz wyrażam moje najgłębsze uznanie dla generała Suharto, ojca narodu.

– Suharto? – pytam sekretarza ambasady, który tłumaczy mi tekst artykułu – Tego nazwiska nie wypowiedziałem. Świadomie.

– Dobra robota – odpowiada mimo to – W państwach takich, jak te, nie można się brzydzić wypowiedzianiem komplementów.

– A nasz premier?

– O, tego fragmentu nie wysłemy do Hagi. Do niczego im potrzebny.

Milczę. Po to tylko, by nie zwymyślać mojego gospodarza.

„Cenzura” ukazała się w zbiorze *Zedrift* (2009), ale powstała w 1991 r. O polskim przekładzie Brokken napisał: „Cenzura rozgrywa się w Indonezji, ale Polacy odnajdują się widocznie bez problemu w tej opowieści. W czasach komunizmu, i właściwie też wcześniej, mieli wiele doświadczeń z cenzurą i z jej – ujmę to w ten sposób – cechami rodem z Kafki”.

JAN BROKKEN (1949) – autor kilkunastu książek: powieści, zbiorów opowiadań, relacji z podróży. „Arcydzieło literackiego reportażu”, pisał o jego książce *NY Times*. Nad Wisłą ukazało się „Dlaczego jedenastu Antylczyków klęczało przed sercem Chopina” (tłum. Aleksandra Hnat), a w 2014 r. ukażą się „Bałtyckie Dusze” (tłum. Alicja Oczo), nominowane do *European Book Prize*.

ŁUKASZ KOTERBA (1984) – jest dziennikarzem (*niedziela.nl*), tłumaczem i nauczycielem (*koterba.nl*), mieszkającym w Amsterdamie. Prowadzi stronę internetową, promującą literaturę niderlandzką (*pisarzemowia.nl*).

Warsztaty translatorskie – Amsterdam 2013

Czy bitwa pod Grunwaldem powinna być pierwszą bitwą pod Tannenbergiem? Dlaczego „pantoffels” to nie pantofle, a dystyngowane damy chodzą w bamboszach z pomponikami? I po co ty właściwie żyjesz, Jürgen? Takie pytania stawiali sobie polscy tłumacze, biorący udział w warsztatach translatorskich w Amsterdamzie.

ŁUKASZ KOTERBA

Warsztaty zorganizował amsterdamski Dom Tłumacza (Vertalershuis), będący częścią Nederlandse Letterenfonds, holenderskiego instytutu promującego literaturę niderlandzką.

Vertalershuis co parę lat zaprasza tłumaczy z danego obszaru językowego na kilkudniową burzę mózgów. W listopadzie 2013 roku przyszła kolej na Polskę.

Prowadzenie warsztatów powierzono dwójce doświadczonym tłumaczom. Alicja Oczko przełożyła na polski m.in. słynny Dziennik Anne Frank oraz książki Ceesa Nootebooma, Helli S. Haasse, P.F. Thomése, Mosesa Isegawy i Matthijisa van Boxsela.

Karol Lesman to z kolei człowiek-instytucja: od ponad trzech dekad przekłada na niderlandzki polską literaturę. Przetłumaczył około 50 książek, wśród nich m.in. powieści Wiesława Myśliwskiego, Tomka Tyrzny, Olgi Tokarczuk i Doroty Masłowskiej oraz poezję Różewicza i Szymborskiej. Obecnie pracuje nad swym opus magnum, przekładem „Lalki” Bolesława Prusa.

Także wśród uczestników warsztatów znalazło się parę osób z bogatym dorobkiem translatorskim, jak choćby Małgorzata Diederer-Woźniak (m.in. W Europie i MostGeerta Maka czy Joe Speedboat Tommiego Wieringi). Wkrótce ukaże się jej kolejny przekład. Książkę Het zijn net mensen (w Polsce wydawca zmienił tytuł na szokująceSzokujące fakty z życia reportera) Małgorzata Diederer-Woźniak przełożyła wspólnie z Anną Rosłoń – również uczestniczką tegorocznych warsztatów.

Dzięki Łukaszowi Żebrowskiemu dzieci w Polsce poznały klasykę niderlandzkiej literatury dziecięcej, serię książek Jip en Janneke (w Polsce Julek i Julka). Łukasz Żebrowski przełożył też Utracony raj Ceesa Nootebooma, a obecnie pracuje nad

tłumaczeniem Gestmeld liedboek Erwina Mortiera.

Również Ella Osuch, kolejna z uczestniczek, tłumaczyła niegdyś Nootebooma (Rytuały). W Literaturze na świecie ukazało się jej tłumaczenie Ostatniego papierosa Willema Frederika Hermansa.

W trzydniowych warsztatach (21-23.11) w Amsterdamie uczestniczyli także Anna Maria Boland oraz niżej podpisany.

Tirza i Bałtyckie dusze – fragmenty tych dwóch książek posłużyły uczestnikom Vertaalworkshop Nederlands-Pools za inspirację do czasem burzliwych dyskusji. Tytuły wybrano nieprzypadkowo: oba ukażą się

go fragmentu opiera się jednak na tym, że w niemieckiej historiografii obie bitwy są pod Tannenbergiem. Tutaj nawet Brokken nie był w stanie pomóc, a uczestnicy podzielili się na kilka obozów, które pozostały przy własnym zdaniu. Ten Grunwald nie miał zwycięzców.

Fragment Tirzy, na pierwszy rzut oka dużo łatwiejszy do przetłumaczenia niż naładowane historycznymi faktami Bałtyckie dusze, także okazał się kryć kilka pułapek.

Jak właściwie nazywa się po polsku ową taśmę, na której przyjeżdżają do nas bagaże na lotnisku? Po prostu taśma z bagażami? Taśma bagażowa? A może taśma transmisyjna?

Taśma taśmą, kwestia techniczna. O wiele poważniejszą, filozoficzną, egzystencjalną dyskusję, wywołało zdanie „Jürgen, waarvoor leef je eigenlijk?”. Tłumacząc dosłownie: „Jürgen, dla czego ty właściwie żyjesz?”. Zbitka „dla czego” brzmi w języku polskim jak „dlaczego”, a pytanie „Dlaczego ty właściwie żyjesz?” – też interesujące, to prawda – to jednak inne pytanie niż „Dla czego ty właściwie żyjesz?”.

Tylko czym w takim razie zastąpić „dla czego”? Propozycja, by pytanie postawione biednemu Jürgenowi przez kolegę z pracy przetłumaczyć jako „Po co ty właściwie żyjesz?” również nie wszystkich zadowoliła. „Po co ty właściwie żyjesz” brzmi po polsku brutalniej niż niderlandzkie „waarvoor leef je eigenlijk”, brzmiała argumentacja. Także i w tym przypadku porozumienia nie osiągnięto.

Jak pokazuje powyższy przykład w trakcie warsztatów translatorskich w Amsterdamie dyskutowano nie tylko o kapciach, taśmach transmisyjnych i bitwie pod Tannenbergiem. Padały tu także arcyważne, dotyczące spraw ostatecznych, głębokie pytania: dlaczego ty żyjesz? po co ty żyjesz? dla czego ty żyjesz? I, co może najważniejsze: czy bambosze były z pomponami czy z pomponikami?

Łukasz Koterba



wkrótce w Polsce, a autorką przekładu Bałtyckich dusz jest Alicja Oczko – czyli jedna z prowadzących warsztaty.

Uczestnicy mogli więc zobaczyć na ich własne propozycje przekładu pokrywały się z tłumaczeniem, które wkrótce ukaże się w Polsce. Żeby było zabawniej, w piątek w Vertalershuis pojawił się sam Jan Brokken, autor Baltische zielen. Jeśli któregoś z problemów translatorskich nie udało się wyjaśnić w dyskusji uczestników z tłumaczką Brokkena oraz z Karolem Lesmanem, wątpliwości rozwiązać mógł sam pisarz.

Podobne emocje wywołała kwestia tłumaczenia nazw dwóch bitew pod Tannenbergiem (według Brokkena). W Polsce pierwszą z nich znamy lepiej pod nazwą „bitwa pod Grunwaldem”. Cały sens owe-

Sen morski



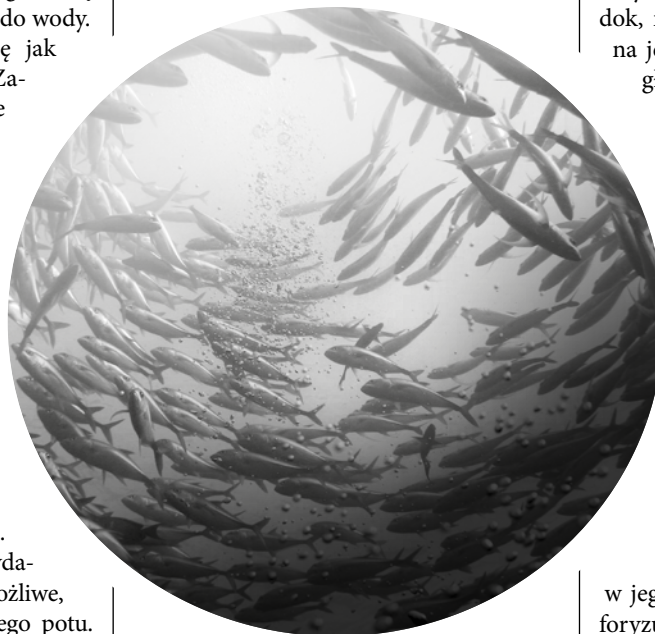
ALEK SILBER

Przyszyły deszcze. Morze nastroszyło się groźnym jeżem, lało i lało. Żałośnie musiał wyglądać ten jacht kaleka ze sterzącym kikitem masztu i wykrzywionym sterem. Zapasów pomału ubywa, ale jest przynajmniej pełen zbiornik wody. Dopiero ostatniej nocy niebo przeczyściło się nieco i ukazało się słońce. Patrząc jak zachodzi nie mogłem się oprzeć jego urokowi i skoczyłem do wody. Płynąłem prosto w złotą tarczę jak wiele lat temu w Dubrowniku. Zanurzając i wynurzając głowę nie zamykałem oczu, delektując się ukazującymi się na przemian kolorom morza i słońca. Zahipnotyzowany barwnym kalejdoskopem wypływałem daleko w morze. Teraz też płynąłem w stronę słońca i wszystko było tak jak wtedy, ale tylko pozornie. Miejsce beztroski zajął niepokój, radość bycia stała się walką o przetrwanie. Momentami zapominałem o tym i dając się ponieść chwili, płynąłem dalej.

Kiedy się odwróciłem, jacht wydawał się małą łódką i jeśli jest to możliwe, poczułem na czole krople zimnego potu. Przestraszony zachłysnąłem się wodą i złapał mnie skurcz nogi. Tylko spokój – mówiłem do siebie, powoli rozciągnąłem stopę i powróciłem do równego rytmu pływania. W dole, pode mną głęboki błękit i odległe dno. Czy właśnie tam miałem skończyć? W tej chwili żywy, płynący, a jutro pokarm dla ryb? I to właśnie teraz, kiedy zaczynałem żyć zgodnie z myślą Heraklita. „Pozwólcie mi obniżyć poprzeczkę, a uszczęśliwię świat” – powiedział dwa i pół tysiąca lat temu. To jakaś ironia losu, nieporozumienie. Wpatruję się w głębinę, jakby stamtąd miał za chwilę wypłynąć goniec z dobrą wieścią, z glejtem, zbawieniem. Wytężam wzrok aż do bólu, ale w dole tylko błękit

i cisza. Nikt do mnie nie płynie, żadnych bąbelków nie widać. Nagle przypomniał mi się sen poprzedniej nocy...

Opadam na dno oceanu. Tym oceanem jest ludzka dusza. Im bardziej się zagłębiam tym mroczniejszej, tym chłodniejszej. Pośród falujących zarośli ukazują się ruiny wymarłej osady. W ogłuszającej ciszy posuwam się mrocznym labiryntem grot i skał przypominających małe komnaty; w jednej ludzkie zło, w innej nienawiść, podłość, dalej zazdrość, kłamstwo, egoizm, potem chciwość, pazerność, despotyzm, a wszędzie strach, a komnat tych bez końca. Pomiędzy nimi krążą sylwetki karykaturalnie wykrzywionych postaci, ni to ludzi, ni zwierząt, ich kamienna faktura jest wyżarta zębem czasu. Od czasu do czasu wynurza się jakaś maskara, ryba ze świńskim ryjem albo



ogromny, czerwonoooki szczur czy dwugłowy wąż. Na mój widok zwija się i odpływa z sykiem. Opadam w dół, robi się coraz ciemniej, bardziej wyczuwam niż widzę gwałt i zbrodnie, bestialstwo i sadyzm. Woda jest lodowata, już nic nie widać, dotykają mnie obmierzłe, śliskie macki, niczym ramiona ośmiornicy, każdym swym ruchem powtarzają: wyrzut sumienia, poczucie winy, sumienie, wina, sumienie, wina... Uciekam stąd usilnie kopiąc nogami. Udaje mi się, ale mała to pociecha – z duszy przepływam prosto do piekła, to niedaleko.

Wokół mnie przetaczają się ludzkie postacie, ich twarze wykrzywione w grymasie bólu i cierpienia, szarpią się, walczą między sobą. Usiłując wypłynąć do góry czepiają się jeden drugiego, ściągają się nawzajem do dołu, zaciskają ręce na szyjach, wciskają palce w oczy, usta, szarpią za uszy, włosy. Krew rozplywa się nierównymi pasmami i niczym wstęgi oplata podwodne kłębowisko. W ciemności ledwie rozróżniam twarze. Widzę ich niemy krzyk rozpaczny. Tu młoda matka trzyma przy piersi niemowlę, które wyrwa ją jakiś wytatuowany skin. Obok dwóch chłystków rozszarpuje starca, usiłując wyrwać mu z ręki walizczkę. Dalej nisza tortur, diabelskie postacie rwą pasy z dogorywającej pary kochanków... odwracam wzrok.

W pewnym momencie czuję, że ktoś mnie klepie po ramieniu, oglądam się, to Michał Anioł pędzlem daje mi znak, żebym się odsunął, bo mu zasłaniam widok, nie może malować. Chcę popatrzeć na jego obraz, ale on zaprzecza ruchem głowy, każe mi wrócić jak skończy.

Obok siedzi ktoś przy biurku i pisze pośpiesznie. Podnosi głowę, patrzy, macza pióro w kałamarzu i powraca do pisania. Po siwej brodzie poznaję Dantego. Usiłuję go zapytać, on musi wiedzieć, któż, jeśli nie on? Maestro pokazuje mi gestem, że nie słyszy, woda zagłusza moje słowa. Zresztą on nie ma nic do powiedzenia, wszystko jest przed nami, wie tyle co ja, co wszyscy. Michał Anioł nie zwraca na nas uwagi, zanurza pędzel w zieleni i czerni.

Nagle podpływa ogromny rekin, w jego ogromnej paszczy lśnią setki fosforyzujących kłów. Ktoś go zauważył, daje znaki innym, wybucha panika. Wychudłe, żałosne postacie usiłują uciec, przepychają się nawzajem, ostatnim wysiłkiem próbują wypłynąć do góry, ale stąd nie ma odwrotu. Paszcza zamyka się z głuchym hukiem, wszystko znika, tylko unoszą się czerwone bąbelki i poszarpane ochłapy.

Teraz rozumiem dlaczego obudził mnie własny krzyk. Dobrze, że to był tylko sen, a teraz płynę i mogę się wyciszyć. Coraz spokojniej patrzę na wodę. Jacht łagodnie kołysze się na fali, słyszę krzyk mew. Jestem. Wróciłem. Do kapitańskiego stołu, do kajetu, do małego chłopca.

AS
Melbourne

Fragment z książki Andrzeja Skibniewskiego „Rubinowa Broszka” opartej na prawdziwych dokumentach

TADEUSZ JERZY BULSIEWICZ

PISEŃ TYLKO DO RANNYCH
(dnia 9-go grudnia 1944 r.)

...Dziś nas kryje błękitna szpitalna bluza, o ile nie bandaż, czy gips. Błękitne wojsko. Czy wiesz, co mówi i czuje ranny? To, co ranny mówi, słyszysz w dzień...

Ale to, co ranny czuje, co chowa głęboko w sercu, usłyszysz w nocy. Kiedy się świeci małe, starannie osłonięte światło na stoliku siostry nocnej, kiedy w sali ciemno, a z korytarza tylko blask nikły prześwieca, kiedy o dach namiotu szpitalnego w Italii biją nieregularne krople jesienno-deszczu, słuchaj słów wyrrywających się ciężko ze spieczonych warg. Płyną zewsząd długie, wyraźne rozhovory nocne. Od łóżka do łóżka idź, ujrzyś świat marzeń, pragnień, tęsknot i przeżyć...

Marzenie powrotu setki ich urzeczywistnią: przywożą go, leży niby bez życia, machną mu operację albo i nie, po kilku tygodniach półtrup ożywa, po tygodniu robi awantury z siostrami, po dwóch flirtuje i chodzi, a za miesiąc wali pocztówkę z domu uzdrowieńców: hurra chłopcy dziś wracam do oddziału! A ty – leżysz. Włoką się długie tygodnie i miesiące. Trudno. Mogło być gorzej, bo żołnierz z losom umowy nie pisze. Ewakuują cię dalej. Nowe obrazy, nowe wrażenia, nowi ludzie. Narasta miłaż wspomnień spokojnych. Tak jest tutaj. U nas. A u nich?

Pytasz, kto to – Oni? Oni to ranni żołnierze polscy z 3, 4 czy dalszych korpusów w kraju, to jego syn, twój brat, mój ojciec. Jakiś najbliższy każdego z nas. I pamiętaj, że w słowie „Oni” nie ma przeciwstawienia do słowa „My”. Bo jedno i drugie pojęcie jest niekompletne, bo dopiero razem stanowimy jedność – stanowimy całość. Nie ma różnic. Jeden wspólny cel nam przyświeca, jednego wspólnego Dowództwa i jednych wspólnych rozkazów słuchamy. Jednakowo czujemy, kochamy i nienawidzimy i umieramy za jedno i to samo. Jedną się krew leje tu i tam... Byłeś kiedyś zwierzną, na którą ktoś poluje? Byłeś. Musiałeś być, choć jeden raz, przy przechodzeniu nocą jakiejś granicy... Ale jak sądzisz? Długo byś tak potrafił wytrzymać? A oni tam tak codziennie. Codziennie to samo napięcie, to samo ciągle uczucie – polują na mnie i na moich najbliższych...

...Wynieśli cię z linii.

Nie, to łan kukurydzy zielonej. Nie czas szukać flagi, trudno, krew z niego ucieka, szkoda chłopca, weź go na płaszcz z tamtego trupa. Dalej. Przez ostatni pagórek idziesz w podrzutach szybkiego kuriera. Bantam, bantam ze znakiem „świerka”. Przywiązują cię pasami. W to właśnie zranione miejsce pas uciska. Ale już nic. [...] Wszystko ci jedno [...] Potem coraz dalsze szpitale. Zmieniają się sanitarki, polskie, angielskie. Zaśniesz w pociągu sanitarnym, zbudzi cię warkot samolotu, co cię unosi dalej. Potem segregacje, papiery przywiązane do palca wielkiego u nogi, operacje, gips. Czekanie jałowe. Żegnaj Italio – luksus holenderskiego statku sanitarnego.



– Szkocja. Ktoś nade mną stoi, nade mną się nachyla, ktoś mówi – nie wiem, kto i w jakim języku. Dobrze nam – rannym. Niczego nie brakuje, wszystko, co potrzeba jest na zawołanie... Tak jest z nami. A tam... Oni?

Pomyśl, tam ktoś został ranny. Co zrobić? Odstawić go do tyłu? Ależ tam nie ma tyłów, tam jest wszędzie front, linia ognia, przestrzeń walki. Zostawić? Wynik pewny. Śmierć. Bo chyba nie wierzysz, że pomimo zapewnień Berlina – SS, Gestapo uzna go za „żołnierza” i przeciwnika i że go będą leczyć tak, jak leczą tutaj Niemców, leżących niestety teraz na jednej sali ze mną.

...Oni tam nie mają nic, nic, nic.

...Jest grudzień, a w grudniu święta Bożego Narodzenia. Wilia, biały obrus, siano pod obrusem, długi stół, opłatek, drzewko: świeczki, aniołek z dzwoniem. Pewnie, że smutne, z rzewnym wspomnieniem, szczerym wzruszeniem, żalem prawdziwym, że

kogoś bliskiego brak. Ale syte, ale obżarte, ale opite. No, X-mas i koniec.

No, my, ranni będziemy mieli wcale nieźle. Rzecz można: świetnie. Żal porusza czułe, dobre struny. Komuż pomóc, jak nie tym, co w Święta leżą w szpitalu? Takie „biedne żołnierzyki”. Tu Święta, a oni leżą. I z obowiązku, zwyczaju i prawdziwej chęci pomocy ruszy w zawody współczucie prywatne i społeczne.

Na tym wielkim cmentarzysku, co się teraz Polska nazywa nie ma domu, gdzie by nie noszono osobistej żaloby po stracie kogoś najbliższego. Święta będą, na pewno – będzie Wilia i opłatek. Może nie na białym obrusie, bo obrusy oddano na bandaże. Nie będzie też tego wszystkiego, co my znamy pod pojęciem Świąt i Gwiazdki.

Ale jedno wiem i wierzę, że jeśli prócz opłatka, będzie w jednym domu polskim – na Wilię – kawałek chleba suchego, to go w ten Wielki Wieczór Miłości i Braterstwa podzieli z żołnierzem, podzieli z żołnierzem rannym...

...

Składamy na „Błękitny Fundusz Gwiazdkowy Rannych dla Rannych Armii Krajowej”...

Czołem – koledzy.

TADEUSZ JERZY BULSIEWICZ
POLSKA WALCZĄCA – ŻOŁNIERZ
POLSKI NA OBCYZŹNIE

Dnia 9-go grudnia 1944 r. Rok VI. Nr 49

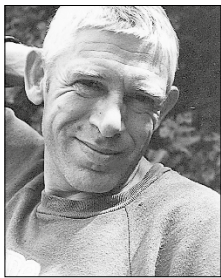
Andrzej Skibniewski. *Rubinowa broszka*.
ISBN 8378560481, Poligraf 2012, s. 358

Od redakcji

Ppor. Tadeusz Jerzy Bulsiewicz zmarł kilka miesięcy po napisaniu tego artykułu (apelu), w lutym 1945 r. w szpitalu Bangour Hospital w Edynburgu (Szkocja).

Nie ma pewności czy portret młodego mężczyzny narysowany przez Krystynę Albrecht (podpisywała wtedy rysunki jako KC – Krystyna Cała) we Włoszech w 1944 roku, przedstawia właśnie tego żołnierza. Andrzej Skibniewski, autor „Rubinowej Broszki” przypuszcza, że tak. Na wystawie w Muzeum Śląska Opolskiego pokazuje oryginalne listy Tadeusza do Krystyny. Trwają poszukiwania rodziny Tadeusza Bulsiewicza. A my, czytając o białych obrusach zamienianych na bandaże zastanówmy się chwilę, jak to kiedyś było. I to wcale niedawno...

Gwiazdka



JULIUSZ BURGIN

Jest Boże Narodzenie, Wigilia.. Wszyscy krzątają się w ściszonych nastrojach, zadumani. Najważniejsze, co było do opowiedzenia, opowiedzieli sobie, kiedy najstarsza Marysia zjechała przed dziesięciu dniami. Rok jest 1945-y.

Nic o sobie nie wiedzieli przez całą wojnę. W 40-ym, uciekając przed następującymi Niemcami, Marysia w wysokiej ciąży, dotarła z mężem do Twierdzy Brzeskiej, gdzie urodziła syna. Wkrótce potem, kiedy Niemcy dalej parli na wschód, zabrała niemowlaka do worka i podjęła ucieczkę. Ojciec chłopca poszedł na wojnę a ona udała się na wędrowną przez ogromną Rosję. Dzieciak prawie jej umarł na krwawą dezynterię, no ale po kilku tygodniach pokonała 1000 kilometrów i do-

niosła syna do Moskwy. Tu jej pomogli i mały przeżył.

Po zakończeniu wojny Marysia brnęła z synkiem z powrotem, z Moskwy do rodziców. Dotarła, odzippedła, odetchnęła a potem zostawiła pięcioletniego smyka u dziadków i pojechała do Warszawy. Dziesięć dni temu wybrała się w podróż na Święta i po całodziennym kołataniu się pociągami i czym się dało, dotarła do Grodźca.

Matka z ojcem przeżyli wojnę tutaj, w rodzinnym domu, w Grodźcu koło Będzina, Zagłębie Dąbrowskie. Uchowała się przy nich najmłodsza Halusia. Była im podporą za okupanta, bo była ważna w biurze firmy w Kowarach, umiała bowiem pisać na maszynie, stenografować i już nie źle mówiła po niemiecku.

Brat Jasiak pojawił się jeszcze w czasie wojny, w 1942-im. Zapukał któreś nocy po godzinie policyjnej, kiedy wszystkie okna musiały być zaciemnione. Zapukał cichutko od tyłu domu. W znoszonych butach na boscie, portkach i ukraińskiej kosworotce. Wychudzony, przemarznięty i głodny. Otworzyła mu siedemnastoletnia Halusia. Krzyknęła, tłumiąc głos; „Jasku, żyjesz!” i rzuciła się w objęcia.

Zabraknie w Święta młodszego brata, Jurka. Ale przynajmniej jest wiadomość, że przeżył wojnę w Bukareszcie.

Nikt nic nie wie o Antku, mężu Marysi, ojcu małego. Poszedł na wojnę i odbywał ją na froncie, w czołgach. Pierwsze słowa

Marysi po przywitaniu były: „wiecie coś? Żyje?” Ale nikt nic nie wiedział.

Przewalił się wreszcie koszmar wojny. Ileż ludzi zaginęło, pomarło, poginęło! Tym na Narutowicza 65 w Grodźcu się udało. Przeżyli. Ale co z Antkiem? Od zakończenia wojny minęło prawie 8 miesięcy a o nim żadnej wieści. Iluż to ich nie wróciło nigdy!...

Krzątają się, rozmawiają półgłosem, wspominają i stroją choinkę, szykują potrawy, robią stół – bielutki obrus, świerkowe gałązki, opłatek. Nie bogato, na miarę wojennej biedy. Dręczy jednak los Antka. Dręczy i przydusza świąteczny nastrój.

Pierwsza gwiazdka. Matka przeżegnała stół i ruszyła ze łzami i opłatkiem w krąg. Podnieśli się i łamiąc się opłatkiem, padali sobie w objęcia. Tylko małe dziecko korzysta z poruszenia i podkłada ze stołu słodkie.

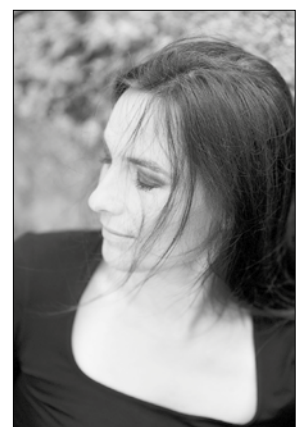
Podjedli trochę, upili trochę wódek. Ciało rozluźniły się, położyli się dużo łez i zabrali się do rozpakowywania skromnych gwiazdkowych prezencików. Zaczęli oczywiście od małego, żeby się czymś zająć.

Z podwórka słychać warkot. Matka wybiegła za drzwi z innymi, nawet nie narzuciła chusty. Spojrzała i zemdląła.

Na podwórku, pod górkę, utkwili nosem w śniegu wojskowy łazik a obok stoi oficer Wojska Polskiego Antoni i podoficer Mikołaj. Stoją w ściągniętych pasem futrzanych kurtkach, uszankach i goglach na czole i wyciągają ramiona. Para wali im z ust i szczerzą gęby od ucha do ucha... **JB**

We told Lutoslawski

jest produkcją polskiej fundacji TAK Temat Aktualny Kultura z okazji Roku Witolda Lutosławskiego. Projekt wspierany jest przez Stowarzyszenie Autorów ZAIKS. Hasło koncertu to nie tylko gra słów, ale przede wszystkim klucz do projektu. „We told Lutoslawski” jest spotkaniem z muzyką Mistrza w niekonwencjonalny sposób. Artyści cytują fragmenty z oryginalnych kompozycji – Koncertu na orkiestrę, Chantefleurs et chantefables. Zestawiają je jednak z własną narracją. Swoim idiomem opowiadają o tym, co słyszą w muzyce Lutosławskiego. Powstają nowe struktury muzyczne- kolaże barw klasycznych, jazzowych, pejzaże muzyczne, którymi żonglują muzycy. Jest to przygoda artystyczna zarówno dla wykonawców, jak i dla słuchacza...



Trasa koncertowa „We told Lutoslawski”

- 8.06.2013 Belgia – koncert w Centrum Kulturalnym Espace Senghor w Brukseli
- 3.10.2013 Niemcy – koncert w Das Galerie w Koblenz/Virenburgu
- 19.10.2013 Polska – koncert w Mazowieckim Centrum Kultury w Warszawie
- 15.11.2013 Etiopia – koncert w African Jazz Village w Addis Abeba
- 8.12.2013 Holandia – koncert w Euroscop w Tilburgu zakończył trasę

Cezariusz Gadzina – saksofony,

Anna Ciborowska – instrumenty klawiszowe,

Marcin Steczkowski - komputery, flet, efekty cyfrowe, EWI

TAK
TEMAT AKTUALNY KULTURA

Stowarzyszenie Autorów
ZAIKS

Veranika Pradzed – ambasadorem koncertowych cymbałów



**MAGDALENA
PIGNARD-BYKOWSKA**

Veranika Pradzed znakomita cymbalistka z Białorusi wystąpiła po raz pierwszy we Francji, w audytorium Jana Pawła II, mieszczącym się w siedzibie Polskiego Towarzystwa Historyczno-Literackiego i Biblioteki Polskiej w Paryżu w dniu 13 listopada. Inicjatorką koncertu, który nosił tytuł „Nowy dulcimer-białoruskie cymbały” była Teresa Janina Czekaj, Prezes Stowarzyszenia Polskich Muzyków we Francji (AAMPF – Association Artistes Musiciens Polonais en France) oraz członek Stowarzyszenia A.P.A.J.T.E*. Program wieczoru, przygotowany specjalnie na paryską premierę, był swoistym przeglądem współczesnej twórczości cymbałowej Vladimira Darokhina (1948), Vyacheslava Kuznetsova (1955), Ludmiły Shleg (1948), Victora Vojcika (1947), Galiny Gorelovej (1951), Ekateriny Senkevich (1987), Vladimira Kurjana (1954), Victora Kopytsko (1956) oraz pokazem mistrzowskiej gry Veraniki Pradzed, która rozpostarła przed zgromadzoną publicznością nieograniczony wachlarz zaskakujących możliwości brzmieniowych i technicznych tego mało znanego instrumentu. W programie wieczoru zabrzmiały również kompozycje Vyacheslava Petsko (1991) i Dmitrija Zhura (1981), dedykowane artystce na znak uznania, jakim młoda, zaledwie 28-letnia Veranika Pradzed cieszy się wśród współczesnych kompozytorów białoruskich. Uznaniem ze wszech miar uzasadnionym, gdyż jej ogromny talent, poparty gruntowną wiedzą o muzyce i absolutną perfekcją w opanowaniu instrumentu sprawiają, że każdy utwór zyskuje odrębny koloryt, a fascynująca interpretacja Veraniki sięga głębi zamierzeń kompozytora, wzbogacając je o niezwykle osobiste spojrzenie na każdy tekst muzyczny.

Veranika Pradzed urodziła się w roku 1985 w Mińsku na Białorusi. W 2009 roku ukończyła z wyróżnieniem Pań-



stwą Białoruską Akademię Muzyczną w klasie cymbałów prof. E. P. Gładkova. Artystka jest laureatką trzech konkursów na Białorusi i ośmiu konkursów międzynarodowych. Jako solistka Filharmonii Białoruskiej w Mińsku często tam koncertuje, a szaczytne zaproszenia na inne sceny dały jej możliwość występów w Szwecji, Niemczech, Rosji, Polsce, na Litwie i – po raz pierwszy – we Francji.

Białoruskie cymbały koncertowe to instrument niezwykle młody (1927-1928), ale kontynuujący tradycję cieszących się niezwykłą popularnością na Białorusi (i nie tylko) cymbałów znanych nam z koncertu Jankiela. Veranika z wielką pasją zajmuje się jego popularyzacją, a co za tym idzie – stanowi inspirację dla całego pokolenia młodych białoruskich kompozytorów, których utwory prezentowała środowego wieczoru. Ze swoim instrumentem nie rozstaje się praktycznie nigdy, choć – mówi z uśmiechem artystka – niekiedy trzeba poddać się wymogom bezpieczeństwa i powierzyć skrupulatnie opakowane cymbały bagażowym, zwłaszcza na czas przelotu samolotem. Służące do uderzania w struny pałeczki z drzewa wiśniowego o specjalnym kształcie są również „oczkiem w głowie” artystki.

W trakcie dedykacji płyt można było bliżej się im przyjrzeć.

Ów paryski debiut Veraniki Pradzed okazał się ogromnym sukcesem i należy jedynie życzyć sobie, by zapoczątkował on zwycięski pochod tego wyjątkowego koncertowego instrumentu przez sale koncertowe świata. Oczywiście z Veraniką Pradzed – jego wyśmienitym ambasadorem – w roli głównej.

MP

****APAJTE** (Association Polonaise des Auteurs, Journalistes et Traducteurs en Europe), Stowarzyszenie działa w Paryżu, na mocy prawa francuskiego od 1994 roku, zrzeszając artystów, ludzi pióra, autorów sztuk wizualnych, dziennikarzy oraz tłumaczy. Na przestrzeni dziewiętnastoletniej, nieprzerwanej działalności w pracach APAJTE uczestniczyło około 345 osób, rozsianszonych na świecie.*

Stowarzyszenie prowadzi działalność wydawniczą, wspiera i promuje swoich członków, popularyzuje literaturę i prasę Polaków zamieszkałych za granicami stając w obrobie praw zrzeszonych w APAJTE dziennikarzy polonijnych. Prezesem stowarzyszenia jest Magdalena Bykowska od 2011 roku

Muzyka życia, czyli Joanna Rawik z... przyjemnością!

PIOTR ŻUROWSKI

Wpadam do domu i od progu macham żonę przed nosem ciepłą jeszcze książką mówiąc, że dzisiejszy wieczór spędzam z... Joanną Rawik. Zresztą zobacz, jaką dostałem piękną dedykację- Piotrkowi Żurowskiemu Z PRZYJEMNOŚCIĄ – Joanna. Na to żona zgasiła mnie krótko: Z PRZYJAŹNIĄ, czytaj ze zrozumieniem!?. Tyle anegdota.

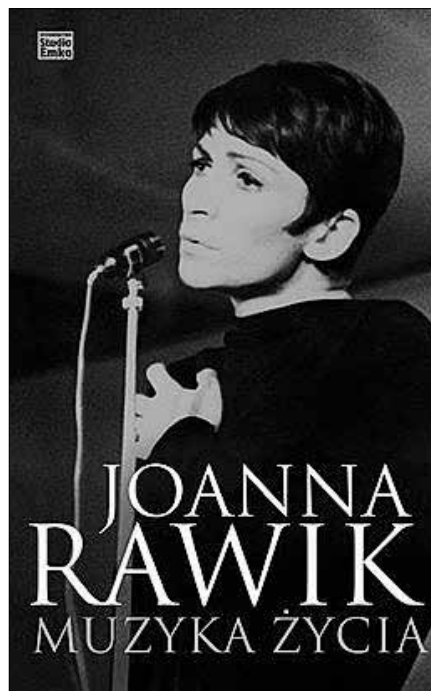
Mógłbym właściwie najnowsze dzieło Joanny Rawik skwitować takim zdaniem: Czyta się jednym tchem, piękne zdania, a właściwie pięknie skrojone muzyczne frazy, pisane poprawną, archaiczną nieco (np. REŻYSEROWIE) ale zrozumiałą polszczyzną, z dystansem, odrobiną złośliwości, a wszystko to na najwyższym, kulturalnym poziomie. Już Iredyński zauważył, że fraza literacka nie różni się od frazy muzycznej. Pod warunkiem, że się tę frazę posiada i czuje. A Joanna Rawik ma frazę doskonałą. Przyznam się, że wspomnienia, autobiografie, pamiętniki, to pozycje, które czytam najchętniej. Po inne utwory idę do teatru, czasem do kina, bo jestem strasznie niecierpliwy. Mam ogromny zbiór tzw. wspomnień, z których najwyższą cenę Pamiętniki A. Rubinsteina, Zrodził go niebieski ptak Grodzieńskiej, a do nich dołączam teraz Muzykę życia. A cenę wspomnianych wyżej autorów za INTELIGENCJĘ, KLASĘ i POCZUCIE HUMORU. Najmniej ciekawe pozycje, które wyłącznie z zawodowej ciekawości kiedyś przeczytałem to Fabryka lalek U. Sipińskiej i książeczka M. Rodowicz (nie pomnę tytułu). Tam artystki narzekają na czasy, w których święciły swoje największe sukcesy, odpajkowują swoich partnerów i ciężki los, jakiego wówczas rzekomo doświadczyły. Wszystko to dodatkowo w kiepskim stylu. Rawik niczego nie owija w bawełnę. Robi to z wielką klasą i dystansem do siebie i czasów, w których zdobywała największe triumfy, nie skarży się, nie biadoli. Pisze, że ludzi wrażliwych nie dzieli różnica pokoleń. Zdumiewające, jak doskonale rozumiem i podzielam tę opinię na różne, nie tylko artystyczne tematy. Np. czytam Jej wspomnienie o kontrowersyjnym Mieczysławie Rakowskim i zadaje sobie pytanie, po kiego grzyba dobry dziennikarz wlaź w tę politykę? Przewra-

cam kartkę, a tam za chwile autorka zadaje to samo pytanie! Niesamowite. Zdarzało mi się tak kilkakrotnie podczas lektury.

Atutem barwnych wspomnień jest ciekawy zabieg przenikania z jednej dekady w drugą, nie odczuwa się zupełnie potrzeby chronologii. Podoba mi się kilkakrotnie użyta forma: ...czegoś takiego nigdy przedtem, ani później nie przeżyłam. Fantastycznie kwituje mężczyźni swego życia, nikomu z nich nie robiąc najmniejszej krzywdy. Jest łaskawa dla wielu koleżanek i kolegów, różnej maści działaczy i decydentów kulturalnych, którzy zapewne nie raz dali Jej popalić! Majstersztykiem jest wyrażenie uczuć do koleżanki Santor, która przedkładała zawsze melodię nad tekst. Dla czytelnika inteligentnego to wystarczy! Zarzutem może być tylko to, że zbyt szybko się chłonie, a smakuje na wiele więcej!!! Mam także niedosyt zamieszczonych fotografii, których zapewne autorka ma tysiące.

Na koniec coś, od czego powinienem zacząć: książka ma piękną, skromną okładkę. Trzymając ją w dłoniach, robi się od razu jakoś tak przytulnie!

O czym państwa zawiadamia wrażliwy czytelnik z poznańskiej Sceny na Piętrze – Piotr Żurowski



Joanna Rawik, Muzyka życia
Wyd. STUDIO EMKA 2013 r.



Sukces „Syberiad Polskiej” w Seattle

W Seattle, mieście Jimi Hendrixa, Kurt'a Cobaina, Pearl Jam ale również i Microsoftu, w październiku tego roku odbył się już po raz 21-y Seattle Polish Film Festival.

Ta liczba 21 jest o tyle ciekawa, że myśmy – tzn. organizatorzy – śmiali się, że już bez strachu możemy się napić za pomyślność tej imprezy – a to dlatego, że 21 to w Stanach jest tzw. *legal age*, czyli wiek w którym w tym kraju legalnie można pić alkohol. Tzn. umrzeć na wojnie za prezydenta można już w wieku 18-u lat, ale legalnie napić się piwa dopiero po skończeniu 21 lat.

Ale to taka dygresja.

Tak jak wyżej, była to już 21-a edycja Festiwalu. W tym roku otwarcie Festiwalu poświęciliśmy Romanowi Polańskiemu – pokazaliśmy film „Roman Polanski – A Film Memoir” i jego pierwszy fabularny film czyli „Nóż w wodzie”.

Pozostałe filmy to już były bardzo współczesne – Dziewczyna z szafy, Piąta pora roku, Imagine, Polska Syberia itp.

W sumie pokazaliśmy 20 filmów pełnometrażowych, jeden dokument i jeden krótkometrażowy – „Mazurek” – świetny zresztą film Julii Kolberger.

Na festiwalu w Seattle jest przyznawana nagroda publiczności – Viewer's Choice Award – którą w tym roku widzowie przyznali dwom filmom – „Imagine” i „Polska Syberia”. Nagrody te zwykle są wręczane podczas Festiwalu filmowego w Gdyni, więc nagrodzeni reżyserzy dostaną je dopiero we wrześniu 2014 roku.

**specjalnie dla Sceny Polskiej
donosi z USofA
Zbyszek Pietrzyk
Dyrektor Festiwalu**

Polska klasyka wedle majstra Wiernika



MAREK WIERNIK

Tym razem witam Państwa z pozycji moderatora największego polskiego koncertu, jaki odbył się poza granicami pięknego kraju nad Wisłą. Piszę te słowa tuż po wylądowaniu w Warszawie, w najlepszym do tego miejscu, bo w redakcji muzycznej Polskiego Radia. Mam jeszcze przed oczami widok radosnej, rozbawionej i rozkołysanej publiczności zebranej w Arenie Oberhausen. To są dla mnie naprawdę wzruszające chwile, kiedy mogę rozmawiać z Państwem, przechadzając się po tej gigantycznej scenie i gawędząc o wykonawcach tak specjalnych i niepowtarzalnych koncertów. Proszę sobie uświadomić, że one odbywają się w Oberhausen od 15 lat pod szyldem Info&Tips i zgromadziły w sumie ponad 150 tysięczną rzeszę polonijnej publiczności. Przez te lata miałem przyjemność prezentowania Państwu praktycznie wszystkie polskie gwiazdy, zarówno te znaczące w historii muzyki pop, jak i rockowej. To nasze spotkanie sprzed kilku dni było jakby wersją „live” cotygodniowych, gazetowych opowieści, pełnych wspomnień i sentymentalnych klimatów. Bezapelacyjny bohater wieczoru, czyli zespół Budka Suflera, właśnie w Arenie rozpoczął świętowanie swojego 40-lecia. Przypomniał nam utwory, które kilka pokoleń fanów nuci od lat 70. A w jakiej formie są ci faceci, jak to wszystko zabrzmiało... Pełen profesjonalizm. Pozostając w nieustającym kontakcie z niemiecką ekipą techniczną, kilkakrotnie dostrzegłem podniesione do góry kciuki. To wielka przyjemność móc pracować z zawodowcami na wszystkich frontach. A wracając do muzyki i historii, wielkie przeboje z lat 80. wykonali z klasą dawni soliści Budki Suflera – nie przemijająco piękna Izabela Trojanowska i nadal mocny wokalnie, Felicjan Andrzejczak. Uwielbiam te palące się zapalniczki i chórkalne zaśpiewy pu-

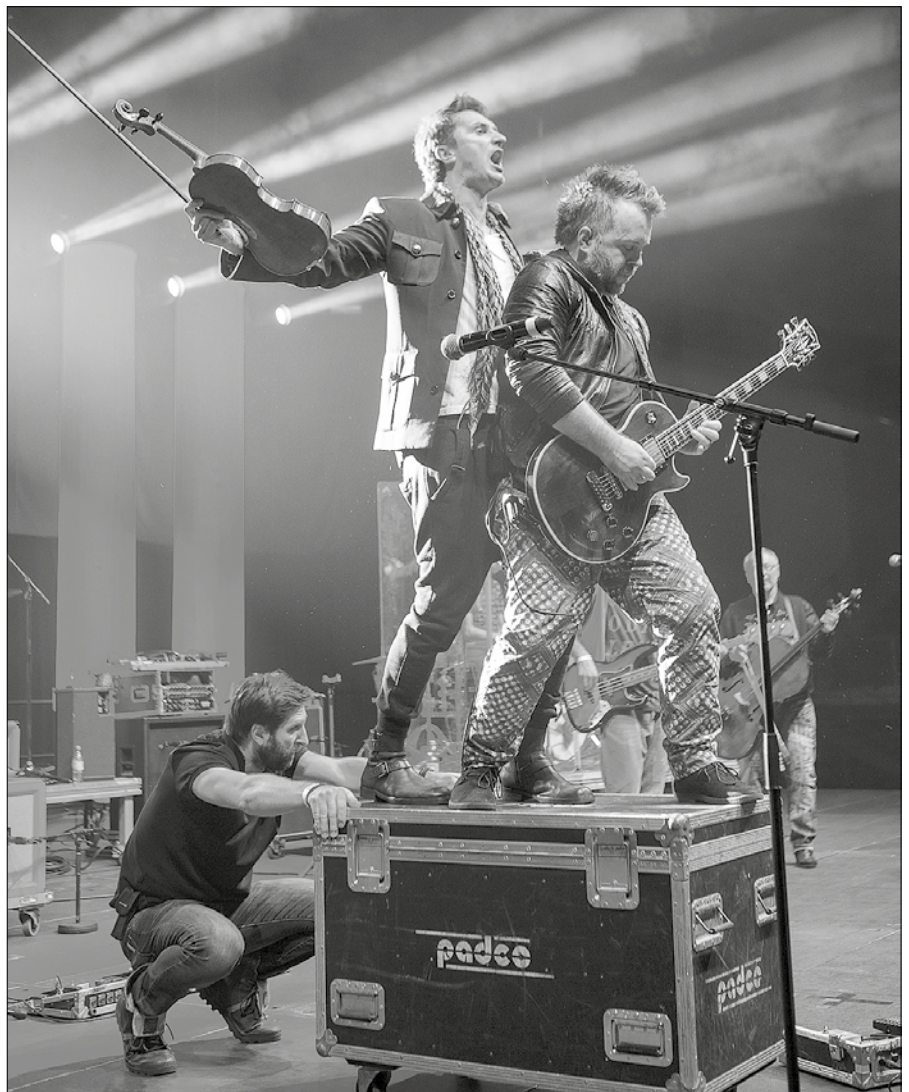
bliczności przy kultowej już „Jolce”. Grupa dyktująca w pewnym sensie od 40 lat trendy na polskiej scenie rockowej ogłosiła, że był to jej pożegnalny koncert w Arenie. Aż nie chce się wierzyć, tym bardziej, że lada miesiąc premiera nowej płyty.

Wszystkie swoje atuty, a zwłaszcza to, że jest wokalistą w pełni dojrzałym artystycznie, potwierdził w Oberhausen, Andrzej Piaseczny. Kiedy mówiłem ze sceny o tym, że jest numerem jeden w Polsce, widownia reagowała z niedowierzaniem. Już po kilkunastu minutach Andrzej dzielił i rządził w Arenie, tym bardziej, że jego recital przeobraził się w prawdziwą rewię przebojów. Osobne brawa należą się bardzo sprawnej grupie, a zwłaszcza wspomagającej wokalnie Piasecznego, Dominice Kurdziel.

Ależ ta dziewczyna ma głos, z jaką śpiewa swobodą i feelingiem. Dobrze, że dane jej było również wystąpienie solowe, przyjęte zresztą owacyjnie.

Otwierający koncert Info&Tips band o swojsko brzmiącej nazwie Zakopower był największą niewiadomą wieczoru. Okazało się, że góralsko – rockowy show, podparty dużymi umiejętnościami całej dziewiątki muzyków, sprawdził się w stu procentach, zarażając widownię tylko i wyłącznie pozytywną energią. Aha, wielkie brawa dla publiczności, do której chciałoby się wracać i wracać. Zresztą, tak jak zapowiedziałem z estrady na pożegnanie – spotykamy się w Arenie Oberhausen w listopadzie 2014 roku!

MW



Zakopower

fot. Info&tips

WOKALISTA – ROGER MARTIN MALUGA



„Wrażliwość i emocje są jego siłą, w życiu jak i na scenie – z precyzją snajpera trafia w muzyczne gusta słuchaczy ...” jego życiowe motto to: „Nie rezygnuj nigdy z celu tylko dlatego,

że osiągnięcie go wymaga czasu. Ten Czas i tak kiedyś upłynie „Wokalista – Roger Martin Maluga, urodzony 17 czerwca 1991 w Siemianowicach Śląskich (woj. śląskie) od 2011 roku mieszkający w Rotterdamie. Kilkakrotny laureat oraz uczestnik konkursów i festiwali muzycznych odbywających się na szczeblach regionalnych, wojewódzkich oraz ogólnopolskich. Uczestnik Profesjonalnych warsztatów wokalnych z Elżbietą Zapendowską. Od dziecka związany z muzyką oraz Młodzieżowym Domem Kultury Jordan w Siemianowicach

Śląskich jak i Siemianowickim Centrum Kultury. Z determinacją dąży do celu realizując marzenia. Na swoim konczie posiada wiele koncertów, recitali jak i kilka autorskich projektów koncertowo-recitalowych.

Brał udział w castingach do programów: Szansa na sukces, X-Factor, Mam talent, oraz Must be the music. Występował wokalnie z kabaretem Łowcy.B. w Holandii. Współpracował z: Bogumiłą Kliš, Andrzejem Lampertem, Mirosławem Jędrowskiem, Bożeną Grudzińską. Supportował takie gwiazdy jak: Stachurskiego, Budkę Suflera, Golec U orkiestra, Pin, Farba, Jacka Silskiego, In Grid, oraz Fancy. Nagrał swoje demo promujące, obecnie pracuje nad autorskim repertuarem. Postać bardzo barwna mająca

wiele pomysłów które stara się realizować. Swoje życie wiąże z muzyką i działalnością muzyczną. Od 2011 roku działa muzycznie na terenie Rotterdamu oraz Belgii, często jednak odwiedzając rodzinne strony w Polsce. Serdecznie zapraszamy na oficjalny profil wokalisty www.rogermaluga.muzzo.pl tam też dowiedzie się, gdzie będzie można posłuchać Rogera w najbliższym czasie.



PROJEKT – SIŁA ŚWIĄTECZNEJ MUZYKI

Projekt Muzyczny wokalisty Rogera Martina Malugi – Siła Świątecznej Muzyki – zrealizowany przy współpracy: Sony Music Poland, Waterfront Rotterdam, Studia Nagrań EM Music Rotterdam, oraz FQX Design, to profesjonalne wydanie płyty muzycznej CD z najpiękniejszymi Polskimi kolędami w wykonaniu wokalisty Rogera Martina Malugi mieszkającego w Rotterdamie. Patronat Honorowy nad płytą został objęty przez Ambasadę RP w Den Haag. Patronat Medialny objęły organizacje działające na terenie Holandii: Scena Polska oraz redakcja portalu Niedziela.nl. Sponsorzy: Art. TM – Teresa Mirańska, Djent. Uroczysty Koncert promujący płytę Siła Świątecznej Muzyki odbędzie się 13 grudnia w Ambasadzie RP w Den Haag oraz 20 grudnia w Polsce w Siemianowickim Parku Tradycji. Pomysł wydania płyty z kolędami w Holandii narodził się w marcu 2013 roku. Z myślą o osobach, które okres świąteczny spędzają w Holandii czyli poza granicami swojego kraju, aby słuchając tej płyty oraz kolęd mogli jeszcze bardziej poczuć tę Świąteczną atmosferę. Jednakże i dla tych, którzy wracają do Polski na Święta oraz mieszkają w kraju. Projekt oraz działania związane z projektem były jedyne w swoim rodzaju. Wydanie tej płyty ma na celu

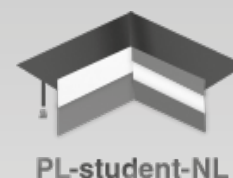
również pokazanie młodym osobom przyjeżdżającym do Holandii – które posiadają jakieś swoje pasje oraz marzenia, że wyjazd do obcego kraju nie powinien spowodować rezygnacji z celów, pasji oraz marzeń

– wszystko da się zrealizować – tylko trzeba chcieć. Całe przedsięwzięcie jest bardzo znaczące dla wokalisty jak i osób, które pomagały w zrealizowaniu płyty.

www.silaswiatecznejmuzyki.muzzo.pl



Stowarzyszenie Polskich Studentów w Holandii PL-Student-NL



PL-Student-NL jest pierwszym stowarzyszeniem utworzonym z myślą o polskich studentach, które swoim zasięgiem obejmuje cały kraj Królestwa Niderlandów. Stowarzyszenie to zostało założone w sierpniu bieżącego roku pod patronatem ambasady Rzeczypospolitej Polskiej w Hadze. Założycielami stowarzyszenia jest grupa studentów z Hagi, Eindhoven i Maastricht, którzy są niezwykle zmotywowani, by stworzyć organizację, która w przyszłości będzie pomagać studentom jak i absolwentom uczelni holenderskich w szukaniu pracy i staży na terenie Holandii. Celem stowarzyszenia jest przede wszystkim pomoc nowo przybyłym studentom w zaaklimatyzowaniu się w obcym kraju. PL-Student-NL zamierza stworzyć sieć kontaktów pomiędzy członkami stowarzyszenia jak i firmami działającymi na terenie Holandii tak, aby w przyszłości oferować pomoc w poszukiwaniu pracy lub stażu. Jednak najbardziej podstawowym celem jest zrzeszenie polskich studentów studiujących na terenie Holandii oraz integracja z holenderską kulturą oraz oświatą. Członkowie zarządu stowarzyszenia są studentami uczelni wyższych i sami wiedzą jak ciężkie były ich pierwsze kroki w obcym kraju dlatego też uznali, że warto jest stworzyć organizację, która będzie pomagać 'świeżakom'.

Stowarzyszenie PL-Student-NL dopiero rozpoczęło swoją działalność. Jednym z pierwszych kroków, które ma je zbliżyć do wypełnienia swojej misji było spotkanie organizowane dla polskich studentów studiujących na terenie Holandii. Spotkanie to odbyło się 15 listopada w ambasadzie Rzeczypospolitej Polskiej w Hadze. Przybyło na nie ponad siedemdziesięcioro studentów, niemalże ze wszystkich holenderskich uniwersytetów oraz HBO. Gościem specjalnym była doktor Anna Jasiak, która opowiedziała o swoim okresie studiowania na uniwersytecie w Tilburgu oraz opowiedziała o perspektywach jakie czekają świeżych absolwentów w Holandii. Spotkanie to było wielkim sukcesem zarówno dla organizatorów jak i członków stowarzyszenia. Zarząd organizacji już planuje kolejne spotkania, które odbędą się w przyszłym roku kalendarzowym.

Łukasz Kaźmierczak
sekretarz Stowarzyszenia Polskich Studentów w Holandii, PL-Student-NL.
kontakt: pl.student.nl@gmail.com
<https://www.facebook.com/groups/401386733299925/>

OPRACOWANIA GRAFICZNE

DRUK CYFROWY

DRUK OFFSETOWY

PIECZĄTKI

DRUKARNIA SWARZĘDZKA
Stanisław i Marek Witwicki

PORA na najnowocześniejszy DRUK CYFROWY kolorowy i czarno-biały

www.drukarniaswarzedzka.pl
62-020 Swarzędz, ul. Pogodna 24a
tel. 61-817-27-64, 61-651-57-02

Podróż życia mamy i córki

Tajlandia - Laos - Malezja - Indie - Nepal

3 miesiące

33.000 km

bezpieczne wspomnienia

Prezentacja na życzenie

Kontakt: poolspodium@gmail.com



OBYWATEL 2.0. Działam i pomagam wykłady-warsztaty-targi

Warsztaty dla mieszkańców Tarnowa
29 listopada - 14 grudnia 2013 r.
Międzynarodowe Targi Internetowe
10 stycznia - 11 kwietnia 2014 r.

działam
2.0
OBYWATEL
pomagam

A central graphic featuring the text "działam" (I act) on the left, "2.0" in the middle, and "pomagam" (I help) on the right. Below the text is a stylized illustration of two hands: one red and one white, both with fingers spread. The "2.0" is written in a large, bold, sans-serif font.

PROJEKT WSPÓLFINANSOWANY PRZEZ SZWAJCARIĘ
W RAMACH SZWAJCARSKIEGO PROGRAMU WSPÓŁPRACY
Z NOWYMI KRAJAMI CZŁONKOWSKIMI UNII EUROPEJSKIEJ



MAŁOPOLSKIE FORUM WSPÓŁPRACY
z POLONIĄ
STOWARZYSZENIE



POLISH
TOURIST
ORGANISATION



POLSKA
COME AND FIND
YOUR STORY



Move Your Imagination

www.poland.travel

